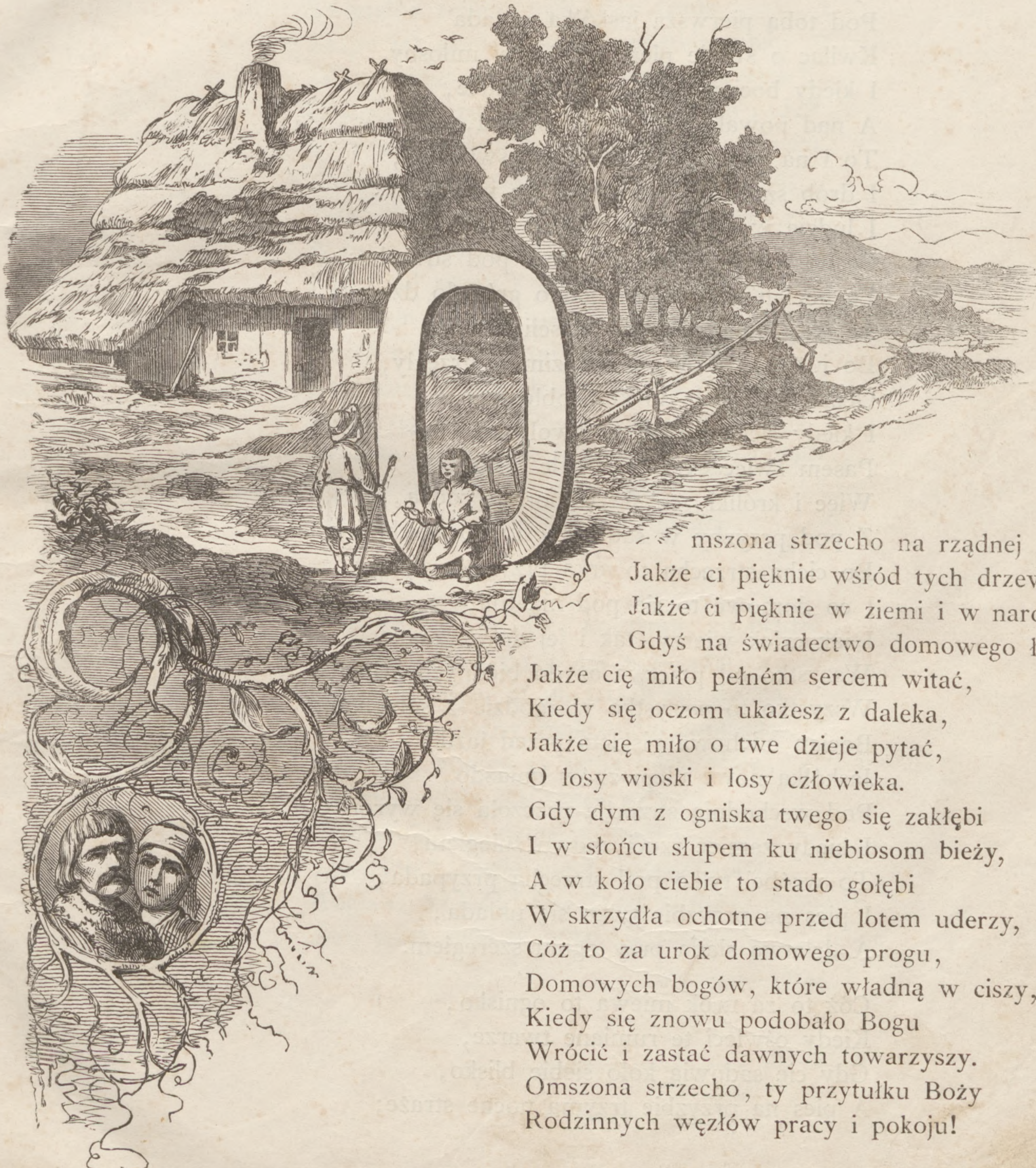


ROCZNIK I. 1868. ZESZYT I.



Omszona strzecho na rządnej zagrodzie!
Jakże ci pięknie wśród tych drzew i sadu,
Jakże ci pięknie w ziemi i w narodzie,
Gdyś na świadectwo domowego ładu.
Jakże cię miło pełném sercem witać,
Kiedy się oczom ukażesz z daleka,
Jakże cię miło o twe dzieje pytać,
O losy wioski i losy człowieka.
Gdy dym z ogniska twego się zakłębi
I w słońcu słupem ku niebiosom bieży,
A w koło ciebie to stado gołębi
W skrzydła ochotne przed lotem uderzy,
Cóż to za urok domowego progu,
Domowych bogów, które władną w ciszy,
Kiedy się znowu podobało Bogu
Wrócić i zastać dawnych towarzyszy.
Omszona strzecho, ty przytułku Boży
Rodzinnych węzłów pracy i pokoju!

Czego pod tobą człowiek nie przysporzy,
Za tém napróżno pogoni wśród znoju.
I biada temu, kto się puścił strzechy
I błądzi światem w burzy i zamieci,
Komu ognisko takie nie zaświeci
Ani pozdrowią tak wdzięczne uśmiechy.
Omszona strzecho, ty darem żywota
I darem chleba i darem miłości
Darzysz człowieka, i prosta twa cnota
Nawet za tobą drogi życia prości.

Do ciebie pierwszéj z dobrą wieścią wiosny
Spuszcza się bocian i na gniazdo siada,
Pod tobą pierwsza jaskółka zapada
Kwiląc o świcie pierwszy śpiew miłosny.
I kiedy bocian z gniazda zaklekoce,
A nad powałą ozwie się jaskółka,
To i na przyzbie dziatwa już świegoce,
I dröb szerszego szuka dla się kółka,
I ludzie w sercu noszą się z pociechą,
Że im przybyło mieszkańców pod strzechą;
Że bocian z kmieciem jedno gniazdo dzieli,
Że oko lotem jaskółka weseli;
Bo już i pszczoły, co się zimna strzegły,
Oczka po ulach do koła obległy;
I kiedy cicho mignie swawolnica
Pasem świecącym po węgle łasica,
Więc i króliki, co się w norach rodzą,
Z pod przyzby w sadek nieśmiało wychodzą.
Bo cicha strzecha to arka przymierza,
I co domowe to się pod nią tuli,
I jak człek wierzy, tak i jej dowierza
Wszystko od ptactwa aż do biédnych króli.
Wszystko to wszystko w zgodzie z sobą stoi,
Bocian odchowa pisklęta przed jazdą,
Jaskółka nowe ulepi znów gniazdo,
Pod wschodnią strzechą pszczoła się wyroi;
I kiedy zamieć rzuci znowu śniegiem,
To wróbel tylko pod strzechą przypada,
I pies na przyzbie tylko się układa,
A dziatwa siada przy ogniu szeregiem.

Cóż to za urok miewa to ognisko,
Kiedy oświeci te rumiane twarze,
Gdy cię sadowią koło siebie blisko,
A pies na przyzbie trzyma nocne straże;

Jakżeś bezpieczny i jakże do razu
Przystajesz sercem do tej ciepłéj strzechy,
Gdy cię witają ogniska uśmiechy
I twarze pełne ludzkiego wyrazu!
Cóż to za urok miewa to światełko,
Kiedy ci mignie w zamieci zimowéj
Naprzód z kaganka przez zamdlone szkiełko
Na nagim stepie albo od dąbrowy!
Na widok jego tobyś leciał ptakiem;
Ale tu rowy, okopy i płoty, —
Więc macaj drogi i objeżdźaj szlakiem,
Aż gdzieś odszukasz wsiowe kołowroty.
Światełko znikło, pies tylko ujada,
Zaspy jak szańce, wicher groźnie wyje, —
Więc pytasz siebie: czy nikt tu nie żyje?
Czy się nie znajdzie dla zbłąkanych rada?
A w tém z pod zaspy przeciągle i głucho
Pieśń się zmieszała z nocną zawieruchą;
Więc słuch wytężasz i zziębłą źrenicę: —
A tu pod zaspą nucą wieczornice,
I pies od zaspy z bliska już ujada,
Aż nagle światło tuż przez drzwi wypada,
I aniś myślał, że tak bardzo blisko
Znajdzie się strzecha — a pod nią ognisko.
Spojrzysz po chacie — a tu niby łątki
W koło ścian białych siedzą krasne prządki,
I pieśń ucichła, ale zasromane
Patrzą ciekawie te twarzy rumiane.

O niech Bóg w łasce każdemu, co błądzi,
Taki przytułek po burzy przysądzi,
Gdzieby wypoczął po latach strudzenia
I port bezpieczny znalazł dla sumienia;
I gdzieby znowu ta sama pieśń złota,
Co piastowała ów ranek żywota,
Tak utuliła te ziemskie boleści,
Jako śpiew matki płacz dziécięcia koi;
Tego ci *STRZECHO* życzę w duszy mojéj —
Stój jakeś stała w pokoju i cześci!...

Wincenty Pol.

BEZIMIENNA.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

I.

Niéma smutniejszej pory roku do przeżycia nad ponurą jesień, która się zdaje wieść do grobu naturę i człowieka.... Najbrzydsza wiosna to jeszcze nadzieja, po za nią świeci życia słońce; najsroższa zima to już przedświt wiosny; — ale te dnie szare, słotne, wietrzne, te kościotrupy drzew uschłych, życie wstrzymane wszędzie, starte barwy, wygasające powoli ciepło — coraz krótsze słońce — w najmłodsze serca wlewają smutek i zwątpienie. Chwilami chce się umrzeć, a dusza buntuje się przeciw tej torturze powolnej. Zdaje się, że z tego snu i zdrętwienia świat się już nie przebudzi... A w gęstwinie puszcz, na gołych stepach, kędy wiatr buja i wyje — w dzikich naszego kraju zakątach — dla ubogich ludzi, dla chat nędznych, dla ciał schorzałych, dla dusz znękanych... jakże to straszne do przetrwania godziny!!

Człowiek chciałby tak położyć się, usnąć, jak wedle podań martwieją i kładną się spać bobaki i niedźwiedzie — a nie zbudzić się aż ze skowronkami i zielenią.

Takiego wieczora tęsknej, burzliwej jesieni, w maleńkim dworku, nieopodal od opuszczonego pańskiego pałacu, położonym nad drogą, która do niego wiodła... w izdebce bardzo ubogiej, acz utrzymanej starannie i chędogo — dwie kobiéty milczące, smutne, siedziały u komina, w którym trochę gałęzi suchych paląc się nierównym płomieniem, to rzucało światło jaskrawemi pasy na mieszkanie, to pogrążało je w ciemności...

Wdowio, sieroco, biednie wyglądał ten kątek, istny przytułek ludzi na łaskawym chlebie... Wiémy, że łaska wygląda zawsze nader skromnie...

Obok izby w alkierzu, do którego przez otwarte drzwi wkradało się światła trochę — leżała blada... dwunastoletnia może dziéweczka, twarzą zwrócona ku pierwszej izbie i ogniowi. Oczy jej wielkie, czarne, błyszczące życiem rozbudzonem gorączkowo, pięknej twarzyczce dziecka nadawały wyraz dziwny, uderzający. — Oczy jej mówiły więcéj niżeli wiek tłumaczył — dojrzałość przedwczesna, złowroga, która przeraża matki i każe wątpić o przyszłości — patrzała z twarzy dziecięcia.

Dwie kobiéty siedzące w pierwszej izbie z jakąś robotą w rękach, więcej się przysłuchiwały wyciu wiatru, szelestowi gałęzi i opadających liści, szumom burzy... więcej spoglądały w ciemności... niż myślały o pracy, co im z dłoni wypadała... Były smutne, pogrążone... jakby wyczekiwały czegoś i obawiały się razem.

Starsza z nich mogła mieć lat czterdzieści, ale z twarzy więcej niż czterdziestoletnie cierpienie patrzało. Była to kobiéta blada, wychudła, znękana bardzo, z wyrazem cierpienia i dobroci w twarzy... z rezygnacyą boleści, w której już iskry nadziei nie było. Włos jej posiwiał przed czasem, oczy miała zapadłe, zmarszczkami wczesnemi okryte czoło i policzki; powieki zaczerwienione i nabrzękłe. Nędza, niewygody, troska, przygnębiły ją — ale nie rozdraźniły przeciwko światu i ludziom — zdawała się pobożnie znosić, co Bóg zesłał na nią, nie buntując się przeciwko niemu.

Lice młodszej niewiasty, jak pierwsza w skromne bardzo suknie przybranej — było całym poematem — rzadko taka piękność spotyka się pod ubogą strzechą... Świetne kwiaty zwykły wystrzelać po cieplarniach, a jasne twarze wśród zbytków i dostatku. Trafiają się czasem jakby na urągowisko nędzy, a na utrudnienie życia, twarze wdzięczne i w sukmanach, pełne wyrazu i uroku tęsknego, czasem klassycznej piękności; — rzadko jednak wykwitnie coś tak majestatycznie, zwycięzko jaśniejącego, jak postać młodej owej dziewczyny... W biednej swej starej sukience zdawała się przebraną królową. Twarz jej nietylko była piękną, nietylko szlachetną, ale uderzała wyrazem energii, siły, uczucia własnej potęgi... i jakiejś dumy zwycięzkiej, która się nędzy ugiąć nie dała.

Cała jej postać posągowo zbudowana, zachwycała doskonałością kształtów; kibić, ramiona, czoło jasne, rączki maleńkie, warkocz czarny, który jej główkę swoim ciężarem uginał, — smutny uśmiéch ust jej różowych, w takiej były sprzeczności z tą ubogą izdebką, iż na pierwszy rzut oka posądzić ją było można, że tu przybyła tylko chwilowo.

Siedziała przecie w majestacie swym, tęskna, zadumana, robotę rzuciwszy... patrzała na ogień, a niekiedy wstrząsnęła śliczną głową, ruszyła ramionami... jak gdyby po cichu, w duszy z myślą się własną kłóciła.

Starsza kobiéta co spojrzała na nią tajemnie, to spuściła oczy prędko, udając że nie patrzy, nie widzi, nie domyśla się tej walki...

II.

Jak ta postać królowej w nędznej izdebce, tak samo schronienie to oku obcego przedstawiało wiele zagadkowych sprzeczności. — Była to ostatnia scena jakiegoś upadku, klęski, sieroctwa...

Uboższej chaty trudno znaleźć nawet na wsi, gdzie o biédę i opuszczenie łatwo... Niegdyś może zaciszna i czysta, teraz zaniedbaną znać była od dawna, a nowi mieszkańcy wzięli ją w spadku po ruinie, nie mając czém od zniszczenia dalszego ratować. Ściany były powypaczane, belki pogięte, gdzieniegdzie smugi czarne i zieleniejące poznaczyły, którędy dészcz przeciekał. Śnieg topniejący się wciskał... z pułapu poodpadały gliny, czarne w nim świeciły szpary — okna potłuczone pozatykane były drzewem, zielem, chustami... Jedno z nich przybita osłaniała tylko okiennica.

Z podłogi wygniłej zostały szczątki tylko powypełniane gliną wilgotną, ubitą,... przez drzwi, któremi wiatr rzucał, wdzierał się chłód, wiała burza kręcąc dymem w kominie, chwilami wybiegającym na izbę... Wszystko to było nad wyraz nędzne, bo świadczyło o rozpaczy, która się ratować i podźwignąć nie umie.

Wśród nędzy tej wszakże — sprzęty niektóre, drobnostki rozrzucone, pozostałości lepszych czasów... kazały się domyślać innego bytu...

Stół, kanapka, para krzeseł, dywanik, poprzybijane do ściany obrazki, medalijony i sylwetki, należały jakby do innej, bezpowrotnie ubiegłej życia epoki.

Na stole — zgaszona zapewne przez oszczędność — świéca, oprawiona była w lichtarz niegdyś może wyzłacany — dziś mosiężny, wytarty ale wytworniejszego kształtu.

O ile przy niedostatku takim porządku i czystości być może... zachowano je... ale zarazem widać było, że rozbitki obozowały tu z konieczności, wyglądając może lepszych lub przynajmniej innych losów.

III.

Z za drzwi do alkiérza czarne oczy bladej dziewczynki patrzały jak w tęczę w tę piękną twarz smutnej niewiasty jakby zdrętwiałej od zwątpienia — patrzały niby chcąc coś wyczytać... długo, aż z powiek potoczyła się łza na posłanie... której nikt nie widział...

I ta łza cicha dowodziła przedwczesnej dziécięcia dojrzałości, które już boleść ukrywać umiało, aby jej niedodawać ukochanym.

— Moja matuniu — odezwała się przerywając długie milczenie i jakby budząc się ze snu młoda kobiéta... dziś — a już to *on* chyba nie przyjdzie...

— Kto? spytała udając nieco zdziwienie starsza.

— On...

Nazwana matką kobiéta starsza podniosła głowę z wyrazem politowania.

— Dziecko ty moje, rzekła — dziecko moje kochane — dla czego myślisz o tém...? czemu cię to niepokoi? Przyjdzie, nie, cóż cię to ma tak bardzo obchodzić... Prędzej później nie nadejdzie wcale...

— Siedzimy tak same zawsze, tak smutne... cóż dziwnego, że mi tam trochę tęskno... za ludźmi...

— Do samotności, do smutku przywyknąć nam potrzeba, moja Helo, ozwała się starsza — O! przywabić do siebie ludzi nigdy ci z twoją twarzyczką nie będzie trudno — ale na co nam ludzie... aby resztę odebrali... trochę spokoju i ciszy?!

Wspomniałaś o nim... ja się już tém przerażam... człek obcy, nie znany... ty do niego przywykasz, a to ptak wędrowny... ani wiémy, kto on jest, ani po co się tu zjawił, ani dla czego bawi, i co robi... Że nie mając się gdzie rozerwać przypytał się do nas... moja Helo... na tém nic budować nie można... Dziś jest, jutro go niéma.

— Budować! — powtórzyła Hela z uśmiéchem jakby szyderskim— a! alboż ja co na tém buduję? Wiém bardzo dobrze, że jak przyleciał tak zniknie — że nic go tu nie wstrzyma, a więcej może nie zobaczymy go w życiu... Ale — moja matuniu — dobrze choć jeden wieczór o troskach zapomniéć, przemarzyć, przegadać — mniej zostanie nędznego życia.

— A trochę nieprawdę mi mówisz, Helo kochana, o! nie wierzę!— przerwała starsza;— ja w myśli twej czytam jasno, bom nawykła od dzieciństwa... Czemu tak nigdy nie wyglądałaś naszego starego poczciwego proboszcza... lub kogo z mieszczan, co nas odwiedza? A jego...

— Moja matko—żywo podchwyciło dziéwczę—jakże go można z tamtymi porównywać? To są ludzie zwyczajni a ten...

— Ale cóż w nim znowu nadzwyczajnego znajdujesz? — spytała starsza.

— Jakto? wy się pytacie? wy tego nie widzicie?—zawołała Hela poruszona mocno zrywając się z krzesełka i siadając zaraz, jakby niepokój ukryć chciała — wy, wy nie czujecie, że takich ludzi nie wielu być musi na ziemi? Od niego zawiéwa jakąś siłą, urokiem, potęgą... Widzicie przecie, że mnie ani młodością nie ujął, bo młodym już nie jest, ani pięknością, bo nigdy pięknym nie był, ani elegancyą, bo z powierzchowności wydaje się prostym człowiekiem... a mimo to, ten w szarej węgierce niepozorny człowieczek... przysięgam ci, matuniu, to ktoś być musi... no — ja nie wiem, to wielki mąż jakiś... to bohatér...

Starsza kobiéta rozśmiała się smutnie ruszając ramiony, potrzęsając głową z wyrazem politowania.

— O marzycielko ty! marzycielko! — szepnęła— tyś taka stęskniona — głodna, młodość cię tak woła z tej pustyni do świata i ludzi, że tobie każdy przybysz wyda się przebranym królewiczem i bohatérem...

Hela westchnęła.

— Nigdy mnie matko nie zrozumiécie

— Ani ty mnie Helo kochana...

A po chwilce dodała ciszej.

— Moja ty droga, tylko tam nie daj głowie na rachunek bohatéra bardzo snuć marzeń szeroko, on ci tak niespodzianie zniknie, jak dziwnie spadł z dészczem.

Powtarzam ci, przypomnij to sobie, nie wiémy nawet kto jest, po co tu przybył... widocznie wpadł tu przypadkiem, czeka tylko na coś, z nudów dał się twym ślicznym oczom przywabić —

Hela zamilkła, ale chcąc zwrócić inaczej rozmowę, odezwała się na pozór obojętnie.

— A jakże się też matuni zdaje? ktoby to mógł być? Nieprawda, że to zagadka...

— Której ja ani myślę odgadywać — dodała stara... W tak burzliwych czasach jak nasze, kiedy się ludzi wszelkiego rodzaju snuje po kraju — możnaż się domyślać nawet, co to za człowiek? Że nie prosty jakiś szlachcic szukający obowiązku, to pewna... budzi to podejrzenie i domysły, dlaczego się ukrywa, czemu z nazwiskiem tai, bo to co nam powiedział... jakieś... zdaje się, że je sobie zmyślił na prędce... a widocznie nie chce, aby go widziano, siedzi cały dzień na probostwie...

— A to matka wié — cicho bardzo szepnęła Hela schylając się prawie do ucha—że na jakieś narady nocami przyjeżdżają do niego obywatele z okolicy, mieszczanie jacyś, wojskowi, księża... na probostwie czasem nie spią do białego dnia...

— Zkądże ty to wiész? zapytała starsza.

Hela się zarumieniła.

— No, dosyć że wiém, rzekła...

— Nie trzeba ci o tém wiedzieć — zawołała matka zafrasowana — a na miłego Boga, nie mówić, nie powtarzać, nie pytać! — To mówiąc załamała ręce — Cicho! cicho! przed sobą samą... ja także wiedziałam o tem, a milczę nawet przed tobą... Straszne czasy!

Obie zamilkły na chwilę.

— Bądźcie spokojni — rzekła Hela — to mówię dlatego, że gdyby był pospolitym człowiekiem... przecież nie ściągałoby się do niego tylu...

Starsza nic nie odpowiedziała, ogień jaśniej zapłonął, obie wzięły się do roboty, ale ta im już nieszła.

— No, to już dziś chyba nie przyjdzie — szepnęła Hela prawie niedosłyszanym głosem.

Wtém z alkierza, chora dziéweczka leżąca w łóżeczku ozwała się, odpowiadając —

— Ale przyjdzie... ja go słyszę... idzie... idzie...

IV.

— Ty jeszcze nie spisz? — zrywając się i biegnąc do alkiérza zawołała matka. Hela także wstała spiesząc za nią. Znalazły dziewczynkę wspartą na łokciach z otwartemi oczyma czarnemi, uśmiéchniętą dla nich —

— Dla czegożeś nie spała? — spytała matka.

— Jakże ty wiész że on przyjdzie? — przemówiła Hela całując ją.

— Nie spałam, bom niemogła... wiatr szumi jakby coś mówił, czego nie mogę zrozumieć... przecież to musi być jakiś głos Boży... myśl jak myszka latała mi po głowie i nie dała się zdrzémać...

A że przyjdzie — przemówiła do Heli — o! to pewna... ztąd słychać chód na gościńcu... on idzie... on przyszedł... czuję...

W tejże chwili drzwi się zatrzęsły, zaskrzypiały, stąpanie dało się już słyszeć mimo burzy szumu, i postać płaszczem osłoniona ukazała się na progu. Matka aż załamała dłonie.

— O mój Boże... ta Julka chyba z choroby tak wszystko wié i słyszy...

Ale dziecko chwyciło jej rękę i całując ją, rzekło po cichu:

— Nie — jestem zdrowa... teraz zasnę... ale bo mi żal było Heli...

Mężczyzna, który był wszedł i zrzucił z siebie obmokły płaszcz na ławę stojącą przy progu — nieśmiało dosyć posunął się do środka izdebki —

Hela pobiegła zapalić świécę stojącą na stole... starsza powitała go milcząco.

— Mój Boże, począł przybyły — cóż to za wieczór jesienny burzliwy, zimny, słotny... a panie tu tak same siedzicie? Tak mi się żal zrobiło, że choć może niepotrzebny, przyszedłem. Gdybym wam mógł w czém posłużyć, choćby do porąbania gałęzi...

W tej chwili zapalone światło dało lepiej rozpoznać gościa, który czapkę trzymając w ręku, strwożony jakoś, nieśmiały stał w środku rozglądając się do koła.

Był to mężczyzna już nie bardzo młody, lat dobrze średnich, wzrostu miernego, twarzy zżółkłej i opalonej jakby nie naszem słońcem, do koła której długie, nieopudrowane spadały włosy, wstążką tylko czarną z tyłu związane...

Rysy jego twarzy nie były piękne, na pierwszy rzut oka nie wydawały się znaczące, dopiero dłuższe pożycie uczyło w nich czytać i zwolna rozjaśniało blask ich i majestat. Usta dość duże, nos nieco zadarty, broda tępo ucięta, oczy małe, czoło szerokie i wypogodzone składały się na całość niemal pospolitą, ale wyraz twarzy tchnął powagą, spokojem i dobrocią. Było to oblicze, jakich w kraju naszym tysiące się spotyka, typ dobitnie nasz, swojski — ale wyniesiony jakąś siłą wewnętrzną do nadzwyczajnej potęgi. Zgadnąć było trudno, co mu dawało ten blask niezwykły i to opromienienie — miał w sobie tę niepochwyconą tajemnicę i urok, jakiemi czasem najzwyczajniejsze rysy ozłaca uczucie i idea, które niem władną... Kto go raz widział, ten wzrok mimowolnie zwracał nań szukając słowa zagadki, jaką była fizijognomia ta — niepozornego a niepospolitego człowieka.

Ubiór jego prosty nie odznaczał się niczem — miał

na sobie rodzaj węgierki szarej krojem nieco żołnierskim, z zielonemi sznurkami i długie czarne buty do kolan.

V.

— A może ja paniom moim, zamiast przybyć z usługą, której nie potrzebujecie, przyszedł natrętem nie w porę? — zapytał prawie nieśmiało spojrzawszy na chłodny wyraz starszej niewiasty.

— O! proszę pana — odpowiedziała matka — chorych i biédnych nawiédzać toć uczynek chrześcijański... A Hela dodała:

— Jakże pan mówić to możesz! wiész przecie, jak nam sierotom miłym zawsze jesteś gościem. Aleśmy już istotnie myślały, że dziś w tę burzę, wicher i słotę przyjść nie zechcesz?

— Co mi tam wicher i słota — rzekł siadając na przysuniętem krześle przybyły — służyłem niegdyś wojskowo, to się do wszystkiego nawykło; pomyślałem że tu same panie jesteście, a tem mi pilniej przyjść było, że podobno ja tu już nie długo przychodzić będę...

Hela spojrzała nań żywo — ale prędzej jeszcze spuściła oczy ku robocie, bo starsza zmierzyła ją wzrokiem surowym, jakby przestrogę dać chciała.

— Tak jest, tak... kończył nieznajomy — jutro zapewne moje interesa tu pokończę... a pozajutro... potrzeba będzie jechać!

Westchnął.

— Jechać! spytała Hela — jechać?

— Tak! — muszę — dodał gość smutnie.

— Koniecznie? — szepnęło dziéwczę.

— Gdyby to koniecznością nie było — rzekł znowu wzdychając nieznajomy — czyżbym myślał się ruszyć? Wierzcie mi panie moje, że mi tu dobrze, bardzo dobrze. — Lubię tę samotność i ciszę, lubię tę pustynię waszą, i wieczorne pogadanki przy kominie. — Ale darmo gdy obowiązek zawoła!

Spuścił głowę i zamyślił się.

— A tak to smutno — odezwał się po chwili znowu — opuścić dobrych ludzi, miłe twarze, gdy Bóg wié czy się je już zobaczy więcej.

O! życie, życie — panie moje; cóż to za straszna przepaść pełna tajemnic — gdyby mu nie przyświécała jakaś wiara i nadzieja, ufność w Boga i sprawiedliwość.

Spotykamy się na tym istnym padole płaczu — przechodnie — powitamy oczyma, ściśniemy zaledwie dłonie, czasem nam serce uderzy i — dalej w drogę, dalej bo los chłosta biczem i pędzi jak stado koni... w stepy.

Hela patrzała nań gdy mówił tak osmucony, pochylony, z głową ku ziemi spuszczoną.

— Ale czasem — dodała po cichu — wszak przeciwko tym biczom losu możnaby się oprzéć i postawić?

— Tak to się zdaje za młodu, pani moja — rzekł gość podnosząc wzrok i znów głowę spiérając na ręku — ale gdy w późniejszych latach od smagań jego zostaną blizny, gdy w walkach się siły stargają, człowiek już jak ujeżdżony koń, idzie posłuszny pod biczem, w chomącie i nie myśli się opiérać... aby do końca!

VI.

Domawiał słów tych gość nieznajomy, gdy wejrzenie jego padło wypadkiem na ścianę przeciwległą, którą żywszym blaskiem oświécała stojąca na stole świéca; mówił a oczy jego wlepione, utkwione w nią, zdawały się coś dostrzegać dziwnego, niepokojącego; podniósł się, poruszył zdziwiony.

Nad kanapką nie było wszakże nic oprócz kilku medalijonów z czarnemi sylwetkami na dnie spłowiałem, a w środku wisiał większy nieco, na którym z włosów misternie dość wyrobiony był herb jakiś i związana zręcznie cyfra nieczytelna. Plątały się w niej w smaku wieku poukładane głoski, składające jakby zagadkę jakąś do rozwikłania.

Patrząc na ścianę gość przestał mówić, ciekawość jego tak była podbudzoną, że nagle ująwszy świécę, zbliżył się do ściany i począł troskliwie przypatrywać medalijonowi i sylwetkom.

— Zdaje mi się, spytał, że ja tu tego u pań nie widziałem wprzódy.

— A! bo to Hela dziś dopiero dobyła — odezwała się starsza — i nie wiem dlaczego zawiesiła na ścianie wilgotnej... W tej biednej chacie to się nawet niewiedzieć jak wydaje... a to są nasze pamiątki!

— Ja tę sylwetkę znam! to chyba on! tak! to on! — zawołał gość przybliżając się do tej, która wyobrażała mężczyznę młodego... popiersie otoczone było wiankiem, a u dołu miało godła muzyki...

Hela patrzała wciąż bacznie na niego.

— To on! Zkąd panie macie tę sylwetkę? — spytał żywo nieznajomy, odwracając się ku kobiétom.

— Jest to moja własność, odpowiedziała Hela... to pamiątka po moim poczciwym przyjacielu... po nauczycielu, któremum winna tę trochę co umiem...

— Jakto! więc znałyście Wacława Swobodę?

— A pan? znałeś go także? zrywając się z krzesła spytała Hela —

— Ja! to był mój serdeczny, najlepszy niegdyś przyjaciel — odparł gość z westchnieniem — jeden z tych ludzi, których gdy nam los odbierze, zdaje się jakby część własnéj wydarł duszy... Te medalijony! zmiłujcie się, panie drogie — jakim się tu sposobem dostały...?

— Te medalijony wszystkie trzy, swój, jakiejś kobiéty nieznajomej nam, i z cyfrą... odpowiedziała powoli starsza... Swoboda, przyniósł Heli, chcąc aby je ona przechowała... nie wiém dla czego... Było to na niewiele dni przed śmiercią jego — nie wiém, czy co przeczuwał, ale

był dziwnie jakiś smutny i pogrążony... Wkrótce potem, wiész pan zapewne, jak niespodzianie tą okropną skończył śmiercią...

Swoboda przywiązał się do Heli, gdy jeszcze dzieckiem była, jakby do własnego dziécięcia... kochał ją jak my... A! był to człowiek rzadkiej dobroci, serca jakich mało... Wszystkie godziny wolniejsze, on co żyjąc z lekcji, miał ich tak mało — poświęcał wychowaniu sierotki...

Gość wpatrywał się pilno w Helę, która siedziała milcząca i smutna... wspomnienie jej sieroctwa, starego przyjaciela zmarłego, powlokło czoło jej chmurą, łza toczyła się po pięknej twarzy.

mnie wszystko, co się go tyczy, obchodzi — O! proszę, proszę pana, nie odmawiaj mi...

Gość jak gdyby milcząco pytał o pozwolenie starszej, spojrzał na nią; ta nie okazując żadnego pomięszania, owszem ciekawość także, — poczęła mówić, jakby przygotowując go do dalszego opowiadania.

VII.

— Mów pan, bardzo go prosimy — rzekla — i mnie też to obchodzi, bośmy byli jego przyjaciółmi... Chciałabym żeby i biednej Helusi serce zaspokoiło się nieco... Nie prosta to ciekawość z naszej strony.



Dziś — a już to on chyba nie przyjdzie... (Str. 5.)

— Pan go znałeś! — zawołała ociérając ją Helena... ja byłam prawie dzieckiem, gdy go nieszczęście to spotkało .. powiedz mi pan, wiesz pewnie coś więcej niż my — co znaczyła ta śmierć jego straszliwa? Moja dobra opiekunka mało mi co o tym wypadku powiedzieć mogła, bo mało wiedziała sama... Czém ten anielskiej dobroci człowiek mógł na taki zgon zasłużyć? co spowodowało zbrodnię? Zmiłuj się pan — dodała goraco chwytając go za rękę — może drugi raz w życiu nie trafi mi się spotkać kogoś, coby go znał jak my, a mógł mi dać o nim wiadomość... to był dla mnie, a! jakby ojciec przybrany, wszystkom winna tej opiekunce a matce — i jemu. Pojmujesz jak

Mówiłam już, zdaje mi się panu — że Helunia, którą ja kocham jak córkę, a ona mi też płaci sercem dziecka, jest moją przybraną tylko... w istocie sierotą... Nieznamy nawet jej rodziców, tak się to nieszczęśliwie dla niej złożyło...

Gość potakująco głowę skłonił a patrzał na piękną, osmuconą jeszcze tem wspomnieniem Helę, z większą niż wprzódy wytężoną uwagą, jakby w rysach jej szukał jakiegoś podobieństwa... jakichś śladów utwierdzających rodzące się domysły.

— Niémam ja teraz żadnych dla Heli tajemnic — mówiła dalej starsza — nie chcę nic przed nią ukrywać, aby biédaczka nie roiła nadaremnie... pragnęłabym żeby się jej

los wyjaśnił, ale dziś się już tego trudno spodziéwać — tyle lat upłynęło!

Byłam jeszcze wówczas młodą bardzo, tylko cośmy się pobrali — ja i mąż mój nieboszczyk mieszkaliśmy w Warszawie, bo Ksawery mój służył w kancelarji marszałkowskiej i był manualistą przy samym Księciu Marszałku. Chociaż z pensyjki i różnych bocznych dochodów zaledwie wyżyć mogliśmy, ale nadzieja trzymała, że poczciwego człowieka popchną ludzie poczciwi. Mieliśmy przyjaciół i protekcją. — Ksaweremu naówczas różne rzeczy jeszcze po głowie chodziły... Zdawało mu się, że musimy lepszego dobić się losu pracą i uczciwością. Rad też był mnie w tej nadziei przygotować do świetniejszego bytu, i choć już zamężnej narzucał nauczycieli, kazał się więcej książką zajmować niż gospodarstwem.... Szczególniej mu się zdawało, że z mojego głosu, choć w nim nie było doprawdy nic osobliwego — coś zrobić potrafi; chciał koniecznie, zaklinał, prosił, żebym się uczyła muzyki i śpiewu.—Jednego dnia, niewiem zkąd go wziąwszy, przyprowadził mi metra, właśnie tego Czecha Swobodę.

Znałeś go pan, więc długo o nim nie potrzebuję mówić. — Rzadkiej był dobroci, skromności, potulności człowiek; mało znany a niepragnący sławy i rozgłosu, rozmiłowany w muzyce aż do śmieszności. Dla niego na świecie nie było już nic do postawienia obok niej.

Przed laty już kilką, jak mi powiadał, przywędrował był do Warszawy, pieszo, z małym tłumoczkiem na plecach, w którym było więcej nót niż bielizny, z wesołością młodą i nadzieją. Dał się poznać w stolicy prędko ze swego pięknego talentu, bo grał cudnie, jak panu wiadomo na klawikorcie i skrzypcach, a śpiewał jeszcze cudowniej. Kiedy czasem na chórze w kościele arję jaką wziął na siebie, to wszyscy zapominali o modlitwie, zasłuchiwując się... Począł tedy dawać lekcje po pańskich domach, i jak tylko mógł na chleb powszedni zarobić — już więcéj nie pragnął... Oszczędzał, żeby kupić jaki taki fortepianik... a dostawszy go... mało nie oszalał...

Ujmującej słodyczy charakteru, usłużny, grzeczny, skromny — a — co mężczyźnie też nie szkodzi, pięknej twarzy i postawy... był powszechnie lubionym i porywawanym... i gdyby był chciał, mógł świetnie się nawet ożenić... ale dla niego muzyka była wszystkiem...

— Pamiętam go jakbym wczoraj widział — dodał gość — słusznego wzrostu, brunet, włosy prześliczne, oczy czarne, wyrazu pełne, a łzawe... uśmiéch, jakiegom od tej pory na żadnych ludzkich ustach nie widział... Kto go poznał, pokochać musiał — zdawało się, że nie mógł mieć na świecie nieprzyjaciela.

— Otóż Swoboda — kończyła starsza — i mnie począł był dawać lekcje na klawikorcie, potem trochę śpiewu, bywał w domu naszym często bardzo, mąż go zapraszał chcąc wywdzięczyć, że tak drogo jak inni za lekcje nie płacił, — a że mu po pańskich pałacach i ceremonjach wydawać się u nas musiało jak u rodziny (są to jego własne słowa, którem nieraz z ust jego słyszała) więc gościł choć bez lekcji, grał, śpiewał, rozpowiadał, a myśmy słuchali... Z mężem moim poprzyjaźnili się jak bracia, jam się też do niego przywiązała jak do krewnego... nie było u nas prawie dnia bez Swobody.



HELA.

Niewielem się ja tam od niego nauczyła muzyki, bo to była fantazja Ksawerego nieboszczyka, a ja tylko, żeby mu dogodzić, męczyłam się nad klawikordem, choć w istocie talentu nie miałam. Miło mi było, że Ksawery zyskał przyjaciela, bo w istocie skarb to był drogi ten człowiek.

— O! moja pani, mówić mi tego nie potrzebujesz, znałem go dobrze... wówczas i późniéj — rzekł gość — a kochałem go pewnie od was nie mniej... Serce było anielskie... humor dziécięcy, wesołość jakaś czysta, spokojna... rzekłbym niewieścia, dziewicza...

VIII.

— Właśnie w tym czasie, kiedy on się tak poprzyjaźnił z nami... w rok podobno jakoś... Bóg nam dał tę oto sierotkę Helusię... Mogę powiedzieć, że nam ją Bóg dał, bo i dziś ona mi życie słodzi, ona mnie trzyma przy ży-

ciu, a sowicie wynagrodziła za trochę troskliwości o nią w dzieciństwie.

Hela pocałowała w rękę przybraną matkę.

— Był to wypadek dla mnie pamiętny — mówiła dalej Ksawerowa — a do dziś dnia jeszcze tajemniczy i niewyjaśniony. Opowiem go panu, który nam tyle okazujesz przyjaźni… rzadko się co komu podobnego trafia…

Męża mojego podówczas w domu nie było, wziął go był z sobą jadąc na wieś Książe Marszałek dla listów. Siedziałam, jak dziś pamiętam z rana, krzątając się około gospodarstwa, gdy zapukano do drzwi… Widząc nieznajomego mi zupełnie poważnego mężczyznę już nie młodego, myślałam, że się o drzwi mylił — gdy bardzo wyraźnie powiedziawszy moje nazwisko — zapytał mnie, czy to ja jestem… panią Ksawerową… Zdziwiona wprowadziłam go do mieszkania. — Tu nie widząc nikogo, począł od zapytania, czyśmy sami i czy poufale mówić może ze mną… zaklinając abym, czy się zgodzę na jego prośbę lub nie, zachowała ją w jak najgłębszej tajemnicy. Wszystko to mi się jakoś opacznem wydawało, ale ciekawość zaostrzył, zawahawszy się w początku, dałam słowo. Znowu tedy począł rozciągając się nad tem, jak wiele o nas obojgu dobrego słyszał… jakby rad był stać się nam użytecznym i w czémś nam dopomódz. Ale nazwiska swego jeszcze nie wyjawił. Spytałam go o nie — odpowiedział mi grzecznie, że to do rzeczy nie należy, i że się o nim dowiem poźniej. Po długich mówieniach, naostatek rzekł do mnie, iż przychodzi mi proponować układ bardzo korzystny… że gdy własnych dzieci nie mamy, chce nam na wychowanie powierzyć sierotkę, nie mającą ani ojca ani matki, a oddaną w jego opiekę.

Zkąd o nas słyszał, kto mu tę myśl poddał, tego mi powiedzieć nie chciał. Przydał też, że dla przyczyn pewnych nazwiska nawet rodziców dziecięcia powiedzieć nie może, ale to później nam odkryje… gdyż małżeństwo dla familijnych przeszkód było sekretnie zawarte i t. p. Ofiarował przy tem corocznie opłacać za wychowanie Heli parę set dukatów, które nam przy naszej szczupłej pensyjce skutecznie pomódz mogły.

Jakkolwiek mnie to zdziwiło bardzo i przestraszyło nieco — do dziecka się uśmiéchałam, bo dzieci lubiłam, a własnych mi pan Bóg nie dał jeszcze… jednakże nie śmiałam wchodzić w żadne układy, ani przyrzekać, bez wiedzy mojego męża — i odłożyłam decyzyę stanowczą do jego powrotu.

Podżyły ów jegomość uznawszy słusznem zgodził się na to. Czekałam niecierpliwie na Ksawerego, a po kilku dniach gdy przybył, opowiedziałam mu zaraz wszystko. Myślał długo, wahał się, alem go tak prosiła, namawiała, że się nareszcie zgodził na wszystko.

Ów jegomość, który był znanym i szanowanym w Warszawie lekarzem, jak się okazało — przyszedł do nas zaraz po powrocie Marszałka — rzeczy się prędko ułożyły, i tegoż wieczora przywieziono nam dziecinę.

Bóg świadek, jest mi tak drogą, jak moja własna.

Hela westchnąwszy otarła łzę kryjomo, a Ksawerowa mówiła dalej —

— Dom się nasz rozweselił, we mnie nowe życie wstąpiło. Tak nam było dobrze z naszą sierotką, nie licząc tego, że w pomoc nam przybyła bardzo. Gdy nam ją sam doktor wieczorem przywiózł w karecie, szukałam zaraz w powiciu, na szyjce, czy nie znajdę jakiego znaku, pamiątki, medaliku… ale nieznalazłam nic… Lekarz mi tylko oznajmił, że dziécię było ochrzczone, że imię miało Helena, a do czasu zostać miało… bezimienną…

I tak też biédna po dziś dzień została…

Wytłómaczyć sobie trudno, dlaczego rodzice się później ani upomnieli, ani zgłosili… bo choć doktor mówił, że nie żyli… jednakże zdawało się nam, że umyślnie tylko to dla nas powiedział… W pierwszych latach po razy kilka, gdy mnie w domu nie było, wiém, że jakaś pani przyjeżdżała wieczór z doktorem, aby dziecinę zobaczyć. Za każdą razą i dla niej i dla nas coś zostawiła. Przez lat kilka opłacano nam bardzo regularnie pensyjkę Heli, lekarz się często dowiadywał… później ta nieznajoma pani bywać przestała, a jam się prawie cieszyła, lękając się, żeby nam dziecka, do któregom się przywiązała — nie odebrano.

Dziécię też rosło Bogu dzięki — szczęśliwie; — Swoboda nasz przyjaciel wedle swojego obyczaju, w domu naszym niemal codzień bywał. Że to było serce dobre a potrzebujące przywiązania, jak my oboje tak i on się w naszej Helenie rozmiłował, przywykł do niej, i aż psuć ją nam zaczął. Siedział z nią godzinami na ziemi, niańczył, bawił się z nią jakby sam był dzieckiem, przynosił jej cacka, łakocie, karmił, pieścił, stroił, nosił — a jak tylko było można pomyśléć ją czegoś uczyć — zaklął się, że innego nad niego nauczyciela mieć nie będzie.

O! poczciweż to, serdeczne było człeczysko.

— O! i jam się też do niego przywiązała — dodała z cicha Helena — jakby do starszego brata… a gdy dzień go nie widziałam, tęskno mi było i na płacz się zbiérało… Ale w smutnem przeznaczeniu mojem było, żeby to wszystko, co mi mogło życie osładzać — błysło tylko i — znikało. Dostałam właśnie, i gdym najwięcej potrzebowała takiego nauczyciela… pan Bóg mi go odebrał… I to jeszcze w sposób tak niespodziany, tak okropny, tak zagadkowy… jak całe życie moje…

— Wiém, przerwał gość… wiém, pamiętam ten wypadek. Byłem naówczas w Warszawie i traf chciał, żem pierwszy wszedł po wyłamaniu drzwi do jego mieszkania. O! pamiętam tę chwilę straszną,… a do dziś dnia nie rozumiem, nie zgaduję, jaka mogła być przyczyna téj zbrodni…

IX.

W milczeniu, zasłuchane kobiéty, patrzały na opowiadającego, który tak dalej ciągnął cichym głosem —

— Ze Swobodą prawie od jego przybycia do Warszawy się poznałem, przyjaźń nasza rosła z dniem każdym, nie miał on dla mnie tajemnic... Znałem jego stosunki. Ludzie z którymi żył, kółka w których się zwykle obracał, domy do których uczęszczał, mężczyzni i panie poufalej mu znajome... mógłbym był przysiądz, że ten człowiek nie miał nieprzyjaciela. Kogożby swoją dobrocią i słodyczą nie rozbroił, komuż i czémby się mógł narazić. Dla mnie i dla wszystkich okropna ta śmierć jego pozostała niepojętą zagadką...

Służyłem jeszcze natenczas wojskowo — dodał gość — i szedłem właśnie do koszar, gdy w ulicy postrzegłem tłum ludzi biegnących ku Bednarskiej i ktoś mi rzucił wieść, że tam zbrodnia jakaś popełnioną została... że zabito jakiegoś cudzoziemca, muzyka... Tknęło mnie to, bom pamiętał, że tam mieszkał Swoboda; pobiegłem za innymi. Ciżba już otaczała domostwo... ale do środka jeszcze się nikt nie dostał... bo bramę zaryglowano... Dowiedziałem się, że Swoboda od dwóch dni się już nie pokazywał, wzbudziło to podejrzenie, a że drzwi były zamknięte, przystawiono drabinę do okna i postrzeżono w izdebce... kałużę krwi i leżącego trupa... Właśnie nadszedłem gdy pachołkowie miejscy drzwi wyłamywali, urzędnik znajomy mi wziął mnie z sobą. — Na wstępie okropny widok mnie uderzył...

Na łóżku nieposłanem, obok odemkniętego klawikordu i nót, które pisać zaczął... (pióro leżało na ziemi) — ujrzeliśmy go w całem ubraniu wieczornem na wznak rozciągniętego, ale z twarzą jakby uśpioną i spokojną... Rękę jedną miał zwieszoną, drugą zaś w chwili uderzenia za pierś się pochwycił i została tak konwulsyjnie zaciśnięta... Ale jak gdyby się ani bronił, ani opiérał zbójcy — jakby dobrowolnie się poddał czy uśpiony był napadnięty — nie było śladu gwałtu, walki, pasowania się żadnego... Nic wkoło nie znaleźliśmy rozrzuconem, poszarpanem... Na podłodze zczerniała krwi kałuża, na sukniach strumień krwi zaschłej, a w piersi w samo serce wbity po rękojeść sztylet...

Morderca nie mając czasu czy odwagi wydobyć z rany oręża — zostawił go jakby na świadectwo po sobie. O samobójstwie pomyśléć nawet nie było można, chociaż byli i tacy, co go o nie posądzali. Ja com widział leżące zwłoki, jestem pewny, że sam się przebić nie mógł. — Nie można też było napaści tej przypisać chciwości, bo nacóżby się łakomił u ubogiego zabójca? Pierścień kosztowny na palcu, szpilka brylantowa w żabocie — dary przyjaciół i uczennic pozostały nietknięte, choć były bardzo widoczne... W szufladzie otwartej mały zapas pieniężny, leżał także nienaruszony.

Pomimo to, szkatułka rozbita, bióro porozsuwane, kryjówki wszystkie przeszukane widocznie były i splondrowane, — a co najdziwniejsza — w kominie widoczna była kupa popiołu ze spalonych papierów.

Morderca, który dla niewiadomych powodów, zniszczywszy jakieś listy, notaty... a lękając się, aby może z ich szczątków spopielałych nie odgadnięto czegoś jeszcze... zdeptał i zdusił nogami, tak że na popiele wyraźny znalazłem odcisk obuwia męzkiego... Uderzyło mnie to, ja może jeden wszedłszy dostrzegłem ślad stopy, zdawało mi się, że noga była mała, a trzewik wykwitnej roboty z obcasem. Później wiatr od drzwi zawiał i popioły te rozprószył... Grzebałem w papierach spalonych, były zniszczone starannie, ale małe skrawki papieru niedogorzałego, zdawały się resztkami listów...

Gdy rozpoczęto obdukcję, sztylet dobywszy z rany, starano się naturalnie domyśléć coś z niego, wpaść na jakieś poszlaki zbrodniarza — ale tu znowu przedstawiła się inna strona nierozwiązanej zagadki. Sztylet był przedziwnej roboty włoskiej, bardzo kosztowny, z rękojeścią szczerozłotą wyobrażającą kościotrup, okryty całunem... Posążek ten służący za ujęcie, tak był po mistrzowsku wykonany, iż sam król JM., który go sobie przynieść kazał do obejrzenia, osądził go dziełem Benwenuta Celliniego, jednego z najsławniejszych rzeźbiarzy włoskich. Zkąd taki klejnot mógł się wziąść w ręku zbrodniarza?

Ten dzień, te godziny, które spędziłem w mieszkaniu mojego przyjaciela, nie wyjdą mi nigdy z pamięci; długi czas obraz zabitego Swobody, jego twarz zczerniała i wyraz jej łagodny, jakby przebaczał zabójcy... powtarzały mi się we snach. Oburzony, szukałem z największą pilnością śladów, któreby na jakiś domysł wprowadzić mogły... ale naówczas nadto byłem zburzony, żeby zwrócić uwagę na drobnostki... a potém nie czas już było powtórzyć... bo rzeczy i izdebka zostały opieczętowane... Pamiętam tylko, że rozpoczęta kompozycja przerwaną była w połowie i splamiona jakby rzuconem na nią piórem, że krzesła zdawały się upoważniać do wniosku, iż zabójca jakiś czas siedział naprzeciw Swobody...

Na ścianie nad łóżkiem, jakiś wizerunek musiał być zerwany gwałtownie, bo ćwiok tylko zgięty po nim pozostał...

X.

Wypadek ten nietylko na mnie i przyjaciołach biédnego muzyka, ale w całem mieście nadzwyczajne sprawił wrażenie, długi czas umysły się uspokoić nie mogły, wzywano zewsząd pomsty sprawiedliwości, ale poszukiwania całkiem były bezskuteczne...

Śmierć ta pozostała jak była niezrozumiałą dla wszystkich zagadką, której życie zmarłego w żaden sposób wytłómaczyć nie mogło. Znaliśmy wszystkie jego stosunki,

domy, do których uczęszczał, miłość powszechną jaka go otaczała. Ani zazdrość, ani chciwość, ani osobista obraza nie zdawały się możebne, bo Swoboda był zewnątrz świata wielkiego, nie miał związków poufałych prawie z nikim prócz kilku druhów, a zajadłego wroga nie mógł mieć żadnego.

Można sobie wystawić, jaką trwogą i niepokojem wypadek ten przejął umysły — tłumy chodziły oglądać miejsce, w którem zbrodnia popełnioną została; przepuszczeń było niedorzecznych mnóstwo, łamano sobie głowy i skończono na tem prawie, że chyba padł ofiarą jakiejś dziwnej omyłki. Ale jakże było w takim razie wytłómaczyć roztrzęsione papiery, popalone listy w kominie, poszukiwania w mieszkaniu, których ślad był jeszcze tak widoczny?

Dół kamienicy, w której stał Swoboda na drugiem piętrze, zajmowała garkuchnia; badano sługi i gości. Niektórzy przypominali sobie, że wieczorem tego dnia, gdy prawdopodobnie popełnione zostało zabójstwo, mężczyzna wysokiego wzrostu, barczysty, okryty płaszczem, w kapeluszu na oczy zasuniętym, pytał na dole o muzyka, wszedł potem na wschody, i po wnijściu jego muzyka, którą słychać było wprzódy, zaraz ucichła. Ani najmniejszej wrzawy, hałasu, walki... nikt nie uważał. Późno dosyć, nieznajomy ów, wysunął się prędko z domu otulając płaszczem i nucąc po drodze, zapewne aby się okazać spokojnym. Światło które zwykle bardzo długo widać było z okna muzyka, tego dnia bardzo wcześnie zagasło. Drzwi były na klucz zamknięte, a klucz ów zniknął...

To było wszystko, co my przyjaciele jego, wyśledzić mogliśmy... Okazało się jednak, że Swoboda w największej tajemnicy ukrywał jakieś schadzki wieczorne za miastem... że parę razy spotkano go powracającego późno od strony Łazienek, a wytłómaczyć się nie chciał i nie umiał, gdzie swój czas spędził... Trzeba było przypuścić, że zazdrość jakaś pchnęła chyba rękę zabójcy, ale kto zna obyczaje wieku, ten z trudnością zgodzi się na to, aby namiętność podobna, mogła u nas posunąć się aż do morderstwa.

Na pogrzeb Swobody zbiegły się tłumy, szeregi powozów szły za trumną, powszechne współczucie towarzyszyło mu do grobu — ale potem gdy się nagadano, nadomyślano, natworzono bajek dziwacznych... biédny człowiek został tak zapomniany, jak się na świecie wszystko zapomina.

XI.

Hela z oczyma załzawionemi słuchała opowiadania nieznajomego, pani Ksawerowa wzdychała.

— Pamiętam, dodała, że później może w rok już krążyła powieść o Swobodzie powszechnie niby za prawdziwą przyjęta, że zakochała się w nim jakaś można, wielkiego imienia pani, że mąż jej dowiedział się o tem, szpiegował go, napadł sam i zabił...

— Słyszałem i ja to — dodał gość — ale pani kochana, ruszaliśmy ramionami na te baje... Widzieliśmy warszawskie życie, mnóstwo skandalów, a przecie żaden się nie rozwiązał tak tragicznie.

Swoboda chociaż oddawna dawał lekcje po domach możnych, nie podobna było przypuścić, aby skromny i nieśmiały człowiek mógł podnieść oczy na którą z pań wielkich, i tajemne jakieś zawiązać stosunki... Zresztą naówczas kończyło się to zupełnie inaczej... Z charakteru muzyka, który wielkiego świata nie lubił, a od towarzystwa eleganckiego uciekał, wnosiś można, iżby tam dla serca nie szukał zaspokojenia.

Obliczyliśmy potem wszystkie domy, osoby, — staraliśmy się coś pewniejszego dowiedzieć, nie było cienia ani posądzenia! Swoboda przez dobrze zrozumiane uczucie godności własnej, z roli muzyka nigdy nie wychodził, bywał tylko w godzinach lekcji i zaproszony dla popisu... W domach bogatszych mieszczan, gdzie był pożądanym gościem, prędzejby się z kijem niż ze sztyletem spotkał w wypadku zazdrości. Koniec końcem nie wiadomo nic i domyśleć się nie podobna niczego.

XII.

— Zbrodniarz uszedł bezkarnie... — rzekł z westchnieniem nieznajomy.

— Na sąd Boży — dokończyła Ksawerowa. — My na kilka miesięcy przed wypadkiem tym, uważaliśmy w Swobodzie wielką zmianę... Dawniej wesoł, miły, spokojny, można powiedzieć szczęśliwy, nagle zmizerniał, pobladł, stał się zamyślonym... na najmniejszy szelest drgał, jakby się czegoś obawiał... Godzinami bawiąc się po dawnemu z Helusią, którą lubił tak bardzo, słowa nie wymówił, patrzał tylko, uśmiéchał się boleśnie, znać było że go troska jakaś przygniatała... widziałam czasem łzy na jego oczach, ale się ukrywał z niemi.

Gdym go łapała na tych zadumaniach tęsknych, zapierał mi się, przysięgał że mu nic nie jest i poczynał żartować, śmiać się, ale mu to nie szło, najczęściej potem uciekał.

Zdziwiłam się też mocno, gdy jednego dnia przyniósł Helusi swoją sylwetkę i dwa te medalijony, które prosił żebyśmy przechowali... Jeźli się o nie upomnę, powiedział, to mi je oddacie, a nie, to niech u Heli zostaną, będzie mieć pamiątkę po mnie.

Drugi medalijon, jak pan widzisz, wyobraża kobiétę, profil piękny, ubiór wielkiej pani... ale z tego cienia, kto się czego domyśli. Ja naówczas ośmieliłam się go zapytać, ktoby to był taki — odpowiedział mi żywo:

— To — moja siostra...

Zapomniał, że wprzód jakoś, gdym go o rodzeństwo pytała, mówił mi wyraźnie, iż go nie miał, że był jedynakiem i sierotą.

— Moja siostra, — powtórzył mi po chwili — dobra, kochana siostra, która mnie jedna w życiu kochała... Alem ją utracił...

Później dostrzegłam dopiero na drugiej stronie medaljonu zbladłem pismem, nieczytelnie, kobiécą ręką nakreślone po francuzku:

— *A mon ami Venceslas — Louise.*

— Ten drugi medalijon — mówiła Ksawerowa — pokazując przy świécy gościowi, który pilnie oba rozpatrywał— ten drugi ma tylko z włosów cyfrę, w której zdaje się tylko *L* widocznėm... ale resztę chyba nikt nie wyczyta, bo to krętanina umyślnie poplątana. Z herbu też jabym nie mogła poznać czyj, bo się na tém nie znam...

Gość wpatrywał się długo, potem milcząc, oboje na stole położył.

Uderzyło go to, że jakimś trafem profil kobiécego medalijonu, do pięknych rysów Heli miał podobieństwo.

Herb był znanym, ale do każdego z nich tyle się u nas rodzin zalicza, że odgadnąć było trudno, której on mógł służyć.

Gość zadumany, milczący, postrzeżeń swych nie udzielając kobiétom, usiadł jakby wspomnieniem przyjaciela przybity.

— Wieleście panie straciły ze śmiercią takiego człowieka — rzekł po chwili — który kochać umiał... a był tak do których się przywiązał — wylanym.

— O mój dobry panie — ozwała się starsza — Bóg wié jak się to stało, ale śmierć jego była jakby przepowiednią i początkiem wszystkich nieszczęść naszych — od niej się one zaczęły.

W pół roku jakoś po zabiciu Swobody — dowiedzieliśmy się z przestrachem, że lekarz który nam Helusię powierzył, człowiek już stary, umarł nagle, apopleksją tknięty. Mąż pobiegł się dowiadywać, czy jakiego legatu dla dziecka, lub rozporządzenia tyczącego się go nie było, ale ani w testamencie ani w papierach nie znalazło się nic.

Czekaliśmy rok, półtora, dwa, nikt się już do dziecka ani z opłatą, ani z wiadomością żadną od familii nie zgłosił...

O to nam nie szło zresztą, bobym była Helusi nie oddała, ale nam coraz jakoś wiodło się gorzej. Mnie Bóg dał Julkę, drugie dziécię, dla którego ona była siostrą, piastunką, nauczycielką — wszystkiem. Dom znowu nam poweselał na krótko, ale jak to szczęście nie trwa na świecie, mąż znowu chorzeć mi zaczął...

Doktorowie radzili, lekami go zalewali, ale jakby śmierć połknął, schnął biédak coraz, nic go wyratować nie mogło, zmarł zostawując nas troje na łasce Boga, prawie bez grosza, bez przyjaciół i rodziny... sieroty...

Z pomocą poczciwej Heli, która się wcześnie pracować nauczyła, przeżyłyśmy kilka lat w mieście — ale nam szło z dnia na dzień ciężej a ciężej. Julka zaczęła mi blednąć, chorzeć, kaszleć, lekarze kazali ją koniecznie wywieźć na wiejskie powietrze.

Krewny Ks. Marszałka dał nam to schronienie na wsi. Poczciwy pan robił to z najlepszego serca, ale widać nigdy w tym majątku nie bywał, ani znał go, ani wiedział jaki nam tu łaska rządzcy przytułek wydzieli. Przyjechaliśmy, przyjęto nas pogardliwie, a wyznaczono oto tę pustkę zniszczoną, w której od lat wielu nikt nie mieszkał... a ja ledwie je miałam za co poszyć i oblepić, aby jako tako usiedzieć...

W panu rządzcy zamiast opiekuna znaleźliśmy prześladowcę...

Otóż całe życie nasze— dokończyła Ksawerowa... a co dalej będzie? to już Bóg wié jeden.

XIII.

— Gdybyśbie mnie moje dobre panie posłuchać chciały — odezwał się gość po namyśle — a! możebyśmy też co poradzili. Wam tu na wsi wyżyć coraz będzie trudniej, bo pracą waszą nic nie zarobicie, a do ciężkiej roboty aniście przywykły, aniby ona na chleb dała.

Wszakże Julka musi się mieć lepiej!

Matka wyjrzała ku alkierzowi, nim się na odpowiedź zebrała — obawiała się widać, żeby ją dziecko nie usłyszało, a choć Julka spać się zdawała... kiwnęła głową przecząco, mówiąc głośno:

— A tak — lepiej, ma się lepiej.

— Mogłybyście więc bez niebezpieczeństwa do Warszawy powrócić. Ja — dodał — mam tam znajomych trochę, mógłbym dać listy do ludzi, coby się losem waszym zajęli. Znalazłaby się praca właściwsza dla panny Heleny...

Zresztą—rzekł po namyśle—ja też może... wkrótce... nie wiém — znajdę się w stolicy, mógłbym tam być wam użytecznym...

Spojrzał na Helę, która drząc, pomieszana patrzała na niego.

— Ja — dodała Ksawerowa... już tam nie mam ani znajomych, ani krewnych... Miałam przyrodnią siostrę o lat kilkanaście odemnie młodszą... ale ta... ta, jakoś nieszczególnie poszła... Wiém, że jest i teraz w Warszawie, mówią że się jej nie źle wiedzie, ale się do niej udać — nie mogę... o! nie!

Możebyśmy — mówiła dalej — przyjęły od pana tę ofiarę... Ale kiedyś pan już tak dla nas dobry — dodała z uczuciem Ksawerowa — jeźli masz dla sierot tyle przyjaźni... pozwól byśmy też wiedziały, komu wdzięczność będziemy winne... bo doprawdy, my nawet nie wiémy...

Gość nagle zerwał się z krzesła, okazując jakby go to pytanie żywo zaniepokoiło.

— Ale cóż tam... rzekł... mniejsza o to kto jestem... Choćbym wam powtórzył moje nazwisko, (bom je pierwszy raz przyszedłszy już powiedział) niewiele się panie z niego

nauczycie. Nie jestem człowiekiem znaczącym w świecie, niemam imienia głośnego, bogaty nie jestem także — ale pan Bóg mi dał przyjaciół trochę — stosunki.

— Dla czegóż pan się tak kryjesz z tém, czém jesteś, wszakże my pana nie zdradzimy... śmielej spytała Hela, pięknemi oczyma badając duszę jego do głębi.

— Na Boga! w tém nie ma tajemnicy!—przerwał ruszając ramionami gość — ja się żadnej nie obawiam zdrady! wierzcie mi kochane panie... Przyjechałem na wieś do poczciwego proboszcza spocząć... nie kryję się z sobą i z niczem — na Boga! proszę mnie nawet nie posądzać o to. To źle, to bardzo źle!!

Mówił to bardzo gorąco, Hela się jakoś uśmiéchnęła niedowierzająco potrząsając głową.

— Widzisz pan — rzekła — sama ta zbyt żywa obrona wasza, jużby w kim innym podejrzenie obudzić mogła... A przecież nic w tém dziwnego niéma, że choć imię człowieka, który nam się okazał tak życzliwym, wiedzieć, pamiętać byśmy pragnęły.

— Tak... tak... życzliwego, serdecznie wam życzliwego człowieka! — zawołał nieznajomy — chwytając Helę za rękę i wpatrując się jej w oczy. — Ale — zechceszże pani o tym przyjacielu starym pamiętać...

— Ja jestem kobiétą i ciekawą — dodała nastając Helena — do imienia przyjaciela, chcę mieć i dobrze, wyraźnie... zapamiętane nazwisko.

— Wszakżem je już mówił wam — zaraz pierwszego wieczora, gdy mię tu szczęśliwa burza z dészczem zaprowadziła...

— Nie pamiętam, nie słyszałam — rzekła Helena.

Gość zatrzymał się chwilę, jakby z sobą walczył, i rzekł śmiało.

— Nazywam się — nazywam się Tadeusz Siechnowicki... Widzisz panno Heleno, co ci po tém nazwisku? wszak ono nic nie powiada? Jest jednem z tych tysiąca naszych imion szlacheckich, które nie miały nigdy rozgłosu... do których się nic nie wiąże, prócz wspomnień ubóstwa i upokorzenia. Byliśmy biédni, a ubogim zawsze podźwignąć się trudno...

XIV.

Cichy głos Julki przebudzonej z alkierza, powołał matkę do łóżka dziécięcia — Hela i pan Tadeusz zostali sami. On usiadł przy niej na krześle, ujął jej rękę, która mu się nie opiérała — i jakby mimowolnie pochwycony uczuciem, nie będąc panem siebie, uścisnął tę dłoń drzącą w jego męzkiem ręku.

Ale wnet się opamiętał, i jakby zawstydziwszy przed samym sobą — zasmucony, zwolna ją puścił.

— Dobra panno Heleno — rzekł cicho — odpuść mi moją winę — ja stary a przy tobie szaleję i zapominam się — Serce mam doprawdy za młode, za żywe, zbyt się przywiązujące łatwo, aby potem... cierpiało. Byłaś dla mnie tak dobrą, to też w głowie mi się zmąciło... Daruj, zapomnij i — bądź szczęśliwa.

Pocałował ją w rękę.

— Teraz gdy mi już lada dzień odjechać potrzeba — mówił ciszej — ogarnia mnie żal i zgryzota, żem tu nawykł do tej słodkiej ciszy, do miłych z wami wieczorów. Wszystko to przyjdzie opuścić, pojechać i — zostać zapomnianym.

— I zapomnieć, powiédz pan raczej — przerwała mu Helena, patrząc nań ciągle, jakby go wybadać chciała. — My, biedne sieroty, opuszczone, samotne, jakżebyśmy zapomnieć mogły o człowieku litościwego serca, który dla nas okazał współczucie? Nasze dnie teraz z samych się wspomnień składają — ale wy — panie Tadeuszu — wy, jako mężczyzna w czynném życiu, we wrzawie jego, choćbyście nie chcieli — zapomnieć o nas musicie.

— A! nie! nie! nigdy! — żywo odezwał się gość. — Mam serce co nie zapomina... nudne, twarde... Trudno się na niem pisze, ale co napisane to trwa i zostaje na wieki. Wierzcie mi — zestarzałem, wielem się tułał po szerokim świecie, a jednej z tych istot, którem szanował, które kochałem, do których mnie wdzięczność wiązała, nie zapomniałem do dziś dnia. — One! to co innego! one... ani twarzy, ani imienia, ani głosu mojego nie znały — gdy ja —

— One! To serce wasze tak wiele na raz pomieścić może! — zapytała naiwnie Helena.

— Wiele — nie — rzekł uśmiéchając się smętnie — serce panno Heleno, jak wasze spiżarnie, musi miéć kryjówki różne na liczne wspomnienia. Każde z nich ma swoją oddzielną... a w środku stoi... ołtarz i na ołtarzu... jedno imię, obraz jeden...

Dziéwczę poruszyło główką.

— Któżby znów śmiał marzyć o ołtarzu... dość choć małej w sercu kryjówki.

— Ołtarz ten — wywrócony dawno — rzekł smutnie pan Tadeusz — piorun weń uderzył — i chyba cudby go wzniósł na nowo.

Cichszą coraz stawała się rozmowa, coraz poufalszą, pan Tadeusz nie swój już, uniesiony, od oczów Heleny rozgorzał, zapominał się widocznie. Ale w chwili gdy może wyrazistsze miał rzec słowo — smutkiem oblokło się lice, puścił znowu jej rękę, i jakby sam wyrzucając sobie niewczesny zapał młodzieńczy, dodał powoli —

— Co ja wam o sercu plotę! ja który już jestem tylko ruiną i pogorzelskiem... Przy was człowiek odżywa na chwilę, a ledwo za próg, znowu mu na ramiona wiek kładzie zimną szatę jesieni... Darujcie mi, że się czasem zapędzę, obałamucę, upiję... ale wierzcie, że stary wasz przyjaciel, mimo tej płochości pozornej, godzien będzie się waszym przyjacielem nazywać.

Namówcie matkę — rzekł poufnie — namówcie, niech jedzie do Warszawy... Ja tam przybędę... ale nie prędzej, zdaje mi się, jak po Wielkanocy. Terazbym wam do stolicy jeszcze jechać nie radził, poczekajcie... któż wie, może być wojna... mogą być niepokoje... Moskale tam królują, ale ich panowanie nie wieczne. — Jeźli na wiosnę nic nie przeszkodzi, przybądźcie, postaram się, aby los wasz polepszyć.

— Ale jakżebyśmy — spytała Hela — mogły nawet dostawszy się do Warszawy, znaleść was w tém mieścisku ogromném? Gdzie was szukać? kogo pytać?

— Wszakże do wiosny nie wyjedziecie? — zapytał — no, a potém, ja wam dam znać, napiszę, gdzie mnie wyszukać będzie można...

— Nie zapomniecie?

— O mój Boże! — składając ręce zawołał Tadeusz — czyżbym ja mógł o was zapomnieć?

Na te wyrazy weszła Ksawerowa i rozmowa się przerwała — popatrzyła niespokojnie na Helę, na niego, pan Tadeusz zarumieniwszy się dobył zégarka.

— Po jedenastej! mój Boże! proszę mi przebaczyć! Tak mi się ztąd wyrwać trudno... Dobranoc paniom.

— Wszakże, do zobaczenia? — zapytała Hela.

Gość skłonił głowę potakująco i znikł pospieszając ku drzwiom.

XV.

— Helo ty moja! — ozwała się po wyjściu pana Tadeusza Ksawerowa — wierz mi, kocham cię jak własne dziécię... ale zaczynam się obawiać o ciebie... Zawróciłaś głowę temu człowiekowi, samej ci się też ona zakręciła podobno... Któż wié, co to za jeden... Siechnowicki, sam mówił że ubogi, nie młody, służył wojskowo... tułał się po świecie... Do czego cię to prowadzi, na co ci się to przydało? może tylko łzy nowe i nieszczęście.

Hela milczała, stara po chwili zaczęła znowu...

— Jego i siebie bałamucisz... Choćby się nawet chciał żenić... cóż z tego?

Ubogi, nie młody i nie znany.

— Ale mówił przecie, że ma przyjaciół i stosunki—przerwało dziéwczę.

— Przyjaciele, przyjaciele! — zawołała Ksawerowa — dobre to do wesela, do smutku nic potem.

— Ale ja nie myślę ani o małżeństwie, ani o przyszłości — przerwała Helena — a że mi jest miłym, żem się do niego dziwnie przywiązała... tego się nie zaprę, matuniu droga! Świetnych losów nie spodziéwałam się nigdy... sierota... dziecko którego się rodzice własni zaparli... bez imienia... cóż ja mam do stracenia!

— Ale ja, ja ciebie stracić nie chcę... ani widzieć nieszczęśliwą? — zawołała stara.

Hela pocałowała ją w kolana.

— Gorzej jak jest, nam nie będzie — a lepiej chyba być może — on obiecuje, ja wierzę w jego słowa, nie zwodziłby nas... Na Wielkanoc pojedziemy do Warszawy, on tam będzie.

— Ciągle on! on! zawsze on! — przerwała stara, ruszając ramionami.

— Tak on! on jeden — cicho powtórzyła Hela. — Łajcie mnie... a już inaczej być nie może, w jego jednego wierzę... A! to tylko nieszczęście, że pozajutro już go tu nie będzie.

— I mnie ten człowiek — odezwała się Ksawerowa — wydaje się miłym i poszanowania godnym — ale dwa ubóstwa... to gorzej niż jedno... Ty, z twoją twarzyczką, z rozumkiem twoim mogłabyś świetniejszego spodziéwać się losu...

— Ja się żadnego nie spodziéwam, o żadnym nie marzę, żadnego dla siebie nie chcę — żywo rzekła Helena. — Jest miłym dla mnie... ale to wszystko... on się ze mną nie ożeni, ja za niego nie pójdę!! Matuniu, nie mówmy o tém.

— O po tym smutku i podrażnieniu widzę — ozwała się Ksawerowa — że już dalej między wami zaszło, niżelim się spodziéwała...

— Ja dla ciebie nie mam tajemnic — odezwała się Hela — widzisz, słyszysz jak z nim jesteśmy. Nic mi nie mówił, nic mu nie przyrzekłam... ale że mi jest milszym nad innych — o! to pewna...

Stara umyślnie może przerwała na tém rozmowę pocałowaniem, uścisnęły się rozrzewnione. Czas było myśléć o spoczynku; Hela pobiegła do alkierza, posłuchała Julki oddechu, która się zdawała usypiać spokojnie, przygotowała łóżka, zamknęła drzwi, wniosła światło do alkierza, i u ubogiego tapczanika swego, stojącego tuż przy Julce, uklękła się modlić...

Twarzą padła na posłanie, płakała. Starsza siedząc jeszcze u zgasłego komina zdala patrzała na tę postać znękaną, i łzy trysnęły jej z oczów, zapłakała sama.

XVI.

Nazajutrz ranek był mglisty, dzień smutny, ale około południa na drodze wiodącej od dworu do miasteczka przed chatą, którą kobiéty zajmowały — ruch nie zwykły widać było... Przesuwały się postacie różne, jezdni, bryczki i piesi... Szli i powracali do pałacu. Sam rządzca pan Tęborski parę razy jeździł tam i nazad widocznie zafrasowany... Stróż najęty, który co rana przychodził posługiwać kobiétom, wiedział wprawdzie, że ktoś przybył do dworu, że kogoś szukano, ale nie umiał ich lepiej objaśnić.

Dzień był chmurny, chociaż wicher nocny się był uśmierzył. Hela z niecierpliwością oczekiwała wieczora, spodziéwając się przybycia pana Tadeusza; smuciła się

zawczasu, że go już dziś pożegnać będzie musiała... a przeczucie jakieś oznajmywało jej, iż ten ruch we dworze, mógł dla niego być groźnym. Chodziła do okien dopóki cokolwiek było jaśniej na dworze, przysłuchiwała się najmniejszemu szelestowi... wpatrywała w twarze przechodzących, widziała tylko, iż wiele z nich nieznajomych jej było i obcych...

W milczącem oczekiwaniu, gdy się ściemniać poczęło, kobiéty zasiadły u komina, ale oczekiwały napróżno.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Na wstępie okropny widok mnie uderzył... (str. 11.)

WIZERUNKI
ŻYJĄCYCH ZNAKOMITOŚCI NARODOWYCH.

I. PISARZE.

Chcemy zapoznać kolejno czytelników naszych z całym zastępem wiernych i zacnych szermierzy ducha, którzy albo potęgą jeniuszu i namaszczenia, albo też uczciwą pracą i ofiarą dla ojczyzny we wszystkich gałęziach życia umysłowego dobili się dziś do piérwszych szeregów w narodzie. Zastęp ten — możemy powiedzieć to na chlubę naszą — nie jest wcale szczupły. Polska pomimo wiekowego upadku politycznego, pomimo klęsk tak licznych i ciężkich, nie doznała nigdy jeszcze dla braku przewodnictwa duchowego przerwy w swojem posłannictwie dziejowem; i dziś też kroczy ona śmiało i poważnie jasnym torem, jaki zakreśliła jej opatrzność, dając światu żywem słowem i czynem dowody swojego życia i swojej nieśmiertelności.



1.



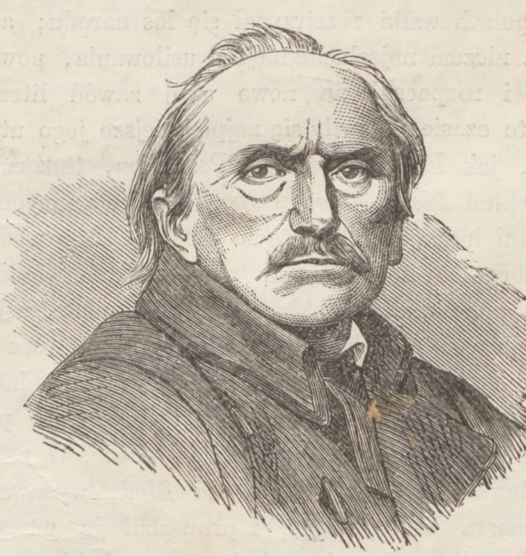
2.



5.



3.



4.

1. Józef Ignacy Kraszewski. 2. August Bielowski. 3. Antoni Małecki. 4. Ksawery Godebski. 5. Wincenty Pol.

Najpierwsze miejsce w tej galeryi ducha narodowego należy się bez zaprzeczenia mistrzom pióra, i nimi też rozpoczynamy pierwszy poczet naszych wizerunków, zastrzegając się jednak przytem jak najwyraźniej przeciw wszelkim zarzutom stronniczości lub uprzedzenia. Ani na wybór, ani też na kolejność podawanych wizerunków nie wpływają żadne względy osobiste lub partykularne; bierzemy te, które mamy właśnie pod ręką, i tym tylko sposobem złożyła się ta pierwsza grupa, którą przedstawia nasz drzeworyt.

Przypatrzmyż się teraz bliżej życiu i działaniu tych postaci.

AUGUST BIELOWSKI.

Pierwszym w grupie jest August Bielowski, poeta i historyk, urodzony w r. 1806 w Krechowie na Pokuciu. Młodosć swoją, jak każdy posłannik ducha, spędził on na głębokich i mozolnych naukach, tem mozolniejszych u nas, gdzie w owych czasach potrzeba było łamać się z trudnościami narzucanych form obcych i własnemi studyami uzupełniać brak nauki w kierunku narodowym. Bielowski poczuwając od pierwszych lat młodości wielkie zamiłowanie do literatury i historyi wielkiej ojczyzny swojej, robił w tym względzie obszerne studya, sięgając do najdawniejszych ich pomników i źródeł starosławiańskich, i jak po największej części każdy młody talent rozpoczął swój zawód pisarski poezyą.

Po raz pierwszy dał się poznać w r. 1830 w wydawanem we Lwowie piśmie zbiorowém *Haliczaninie*, gdzie zamieścił kilka poezyi oryginalnych, tudzież tłumaczenia pieśni serbskich i ustępów z *Rękopisu królodworskiego*. Rok 1831 powołał go jak wszystkich prawie rówieśników jego tam, gdzie na polach walki rozstrzygał się los narodu; a gdy spełzły na niczem najszlachetniejsze usiłowania, powrócił do kraju i rozpoczął na nowo swój zawód literacki. W owym to czasie pojawiły się najpiękniejsze jego utwory poetyczne, jak *Pieśń o Henryku Pobożnym*, tudzież wyborny przekład *Pieśni o pułku Igora*, i wiele innych dumek i pieśni ludowych. W latach 1834 — 1839 wydawał pismo zbiorowe, noworoczniki pod tytułem *Ziewonia*, w których umieszczał przekłady dum i dumek ruskich, skreślane piórem prawdziwie mistrzowskiem; prócz tego zasilał swojemi poezyami jako też rozprawami odnoszącemi się do dziejów i literatury polskiej rozmaite pisma peryodyczne, wydawane podówczas we Lwowie. W r. 1844 objął Bielowski redakcyę *Dziennika Mód*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, i prowadził ją przez lat kilka bardzo starannie. Ale wkrótce potem objąwszy posadę skryptora przy Zakładzie narodowym imienia Ossolińskich zamknął zupełnie już swoją skarbnicę poezyi, a poświęcił się wyłącznie pracom historycznym. Owocem długoletnich badań i studjów było wydane w roku 1850 we Lwowie dzieło jego pod tytułem: *Wstęp krytyczny do dziejów Polski.* Następnie t. j. w roku 1853, już jako dyrektor wspomnionego Zakładu wydał z rękopisu odkrytego w bibliotece Ossolińskich drugie bardzo ważne dla dziejów Polski dzieło pod tytułem: *Fragmenta Trogi Pompeji.* W tym samym roku drukował w *Bibliotece Warszawskiej* obszerną rozprawę pod tytułem: *Rzut oka na dotychczasową pierwotną historyę polską.* W roku 1861 wyszło staraniem jego równie ważne dzieło historyczne: Pisma Stanisława Żółkiewskiego," obejmujące *Wyprawę tego hetmana na Moskwę* z dodatkiem listów mających związek z tą wyprawą, a teraz nakoniec zajmuje się Bielowski drukiem *Pomników do pierwotnych dziejów Polski*, obejmujących najstarożytniejsze zabytki dziejowe, odnoszące się do Polski w różnych językach, tudzież krytyczne wydanie kronikarzy Thietmara, Marcina Galla i innych.

Z prac jego poetycznych wyszły oddzielnie: *Wyprawa Igora na Połowców* w r. 1833 we Lwowie; *Dumki* w r. 1838 we Lwowie, i *Poezye* w Skarbczyku Wolfa w Petersburgu w r. 1855. Nadto wyszły staraniem jego: w r. 1838 *Marya* Malczewskiego z życiorysem autora i dokumentami historycznemi; w r. 1841 *Pienia Szyllera*, zbiór przekładów przez różnych tłómaczy pieśni tego autora, a nakoniec w latach od 1860 — 1863 *Słownik Lindego*, poprawiony i uzupełniony przez niego wspólnie z kilkoma innymi uczonymi mężami, czém wyświadczył niezmierną przysługę literaturze i publiczności. Od kilku lat wreszcie wychodzi pod jego kierunkiem na nowo *Czasopismo Biblioteki Ossolińskich*, w którem spotkać się można z niejedną znakomitą pracą jego pióra.

KSAWERY GODEBSKI.

Drugim z kolei jest Ksawery Godebski, jeden z Nestorów literatury naszej, syn Cypryana Godebskiego, sławnego żołnierza i poety, urodzony w r. 1801 w Królestwie. Pierwsze nauki pobierał Godebski w sławnym za Księstwa Warszawskiego zakładzie pijarskim na Zoliborzu, a później kształcił się na uniwersytecie warszawskim. Bardzo wcześnie rozbudził się w nim talent poetyczny i pisarski, gdyż licząc zaledwie lat 19, występował już publicznie z pracami swemi, brał udział w redakcyi czasopisma *Wandy* i był oraz bardzo czynnym współpracownikiem *Pszczółki Krakowskiej.* Przeważnie jednak skłaniała się twórczość jego ducha ku dramatowi. Młodzieńcem jeszcze będąc napisał francuzkie *libretto* do opery: *Telemak*, pod muzykę Boaldiego, ale opera ta nie była nigdy przedstawioną. Od r. 1820 — 1830 napisał i przetłómaczył kilkadziesiąt dzieł scenicznych, z których wiele przedstawiano na scenach warszawskiej i lwowskiej, jako to komedye: *Miłość i zbytek* — *Karnawał w Łomży* — *Wdowa Malabaru* — *Miłostki ułańskie;* sceny liryczne: *Piast* (wspólnie z Dmuszewskim) i *Nowy Rok* (wspólnie z Dom. Lisieckim). Tłó-

maczył opery: *Emma z Roxbury* — *Turek we Włoszech* — dzieła sceniczne: *Honor i pieniądze* (Ponsarda) — *Popularność* (Delavigne) i wiele innych. Na kilka lat przed rewolucyą listopadową obrany został posłem łuckim na sejm i odznaczał się znakomitą wymową. Rok 1830 porwał go jak i innych w wir polityczny i przerwał jego czynność literacką. Godebski dopełnił wiernie obowiązku swego względem ojczyzny, a po upadku powstania zmuszony uchodzić z kraju udał się do Francyi, gdzie przez kilkanaście lat prowadził życie tułacze pełne trudów i gorzkich doświadczeń. Silny jednak duch jego nie ugiął się ani na chwilę w zapasach z nieprzyjaźnym losem; serce uciskane tęsknotą biło jeszcze goręcej dla Polski, i każdą chwilę wolną od trosk codziennego życia poświęcał wygnaniec tylko myślom o niej i pracy dla niej. Ten peryod emigracyjny był też prawie najpłodniejszym w życiu tego poety. Oprócz licznych oryginalnych utworów dramatycznych, które odznaczają się w ogóle świeżością pomysłu, piękną budową dramatyczną i wierszem gładkim i potoczystym, a których wiele spoczywa jeszcze w jego tece, wydał on w tym czasie następujące prace oryginalne: *Otwarcie kursu historyi i statystyki Polski*, Bourges 1833; *Żywot hr. Ludwika Platera*, Paryż 1838; tudzież tłómaczenia: *Linage de Vaucienne*, *Zwierzenia H. Radziejowskiego podkanclerza; Historyę* Menzla; *Spowiedź powszechną* Souliego 7 tomów; Heinego *Stan literatury obecnej*, 1 tom; nadto wydawał spólnie z L. Chodźką czasopismo *Pologne pittoresque* (Polska malownicza), i brał czynny udział w redakcyi czasopisma *Tribune du peuple*, wydawanego przez Mickiewicza. Wróciwszy w r. 1848 z emigracyi osiadł Godebski w Galicyi i oddawał się dalej swoim pracom literackim. Ogłosił też kilka z nich w tym czasie, jako to w r. 1852 tłumaczenie legendy Micheleta: *Kościuszko*, a w r. 1854 w Rozmaitościach lwowskich trajedyę *Manfred* i dwie małe komedye. W r. 1860 powołany został do Lwowa na kustosza przy Zakładzie narodowym imienia Ossolińskich, którą do dziś dnia zajmuje. W tym czasie wydał: *Duch i dążności wieku*, Lwów 1860, brał również udział w wydawnictwie *Słownika* Lindego, i podał na scenę dwa utwory dramatyczne, komedyę oryginalną: *Gdyby to żony wiedziały* i tłumaczoną: *Co się kobietom podoba.* Obecnie zaś układa i uzupełnia rejestr do literatury Jochera, zbiéra przysłowia narodowe i zasila rozmaite czasopisma artykułami swemi, które pomimo tak sędziwego już wieku pisarza odznaczają się jeszcze całą rzeźwością i siłą jego twórczego ducha.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

Przystępujemy teraz do postaci bez wątpienia najsympatyczniejszej i najpopularniejszej w całej Polsce. Któż bowiem nie zna dziś Kraszewskiego, choćby tylko z fotografii, kto nie spotkał się w życiu choćby z jednem tylko dziełem tego autora, który duchem swoim wyniańczył już kilka generacyi, — kto nakoniec w całej Polsce nie czci go i nie kocha? Imię to tak się już zrosło z sercem, z życiem całego narodu, że jedno bez drugiego nawet pomyśleć się nie da, że kto poznał jedno ten zna i drugie, a komu drogiém jest pierwsze, ten i drugie miłować musi. Tę potęgę mają dusze wielkie, ten przywilej mężowie narodu, — a taką duszą, takim mężem jest właśnie Kraszewski w całem znaczeniu tego wyrazu. Oto krótki rys jego żywota.

JJ. Kraszewski urodził się w r. 1812 w Warszawie. Pierwsze lata życia spędził w Romanowie na Podlasiu przy rodzicach, gdzie przed oczyma jego przesunęła się niejedna jeszcze żywa tradycya z nieszczęśliwej epoki stanisławowskiej. W r. 1825 oddano go do szkół powiatowych w Białej, a w r. 1827 do lubelskiej szkoły wojewódzkiej; ztamtąd po roku przeniósł się do gimnazyum w Świsłoczy, w Grodzieńskiem, a we dwa lata potem (1829) na uniwersytet do Wilna, gdzie słuchał wykładów literatury. Tu jednak zaskoczyły go wkrótce wypadki rewolucyjne, a że młodzian kochający ojczyznę brał w nich osobiście udział, zmuszony był przerwać swoje studya i w r. 1832 powrócił do domu rodzicielskiego. Jeszcze będąc uczniem uniwersytetu w r. 1830, a więc zaledwie 18letni młodzieniec, napisał *Historję języka polskiego;* praca ta nie została wprawdzie nigdy wydaną, ale posłużyła mu ona za podstawę do ubiegania się o katedrę lektora języka polskiego przy uniwersytecie kijowskim. Rozprawa jego napisana na konkurs, otrzymała pierwszeństwo, i został mianowany lektorem, ale nie objął tej katedry, ponieważ zaraz potem została zwiniętą.

Tymczasem rwał się już młody talent z całą siłą na jaw, i pod przybraném nazwiskiem jako Kleofas Fakundus Pasternak napisał Kraszewski w przeciągu trzech lat cały szereg powieści, które wprawdzie po największej części mają tylko wartość prób młodzieńczego pióra, ale mimo to noszą już na sobie niezaprzeczone znamię wyższego umysłu i niepospolitego talentu. Prawie bez przerwy wychodziły jedna za drugą powieści: *Pan Walery* — *Wielki świat małego miasteczka* — *Ostatni rok panowania Zygmunta IIIgo* — *Kościół świętomichalski w Wilnie* — *Pan Karol* — *Cztery wesela.* Największy jednak rozgłos znalazła w owym czasie wydana wkrótce potem powieść jego *Świat i poeta*, utwór jakkolwiek dość lekko naszkicowany, ale za to pełen prawdy, życia i serdecznego ciepła, którém przez długie lata grzała się cała młodzież polska; tu — powiedzieliśmy — okazał się po raz pierwszy talent Kraszewskiego, jako brylant oszlifowany już i jaśniejący całą swą pięknością.

W r. 1835 przeniósł się młody autor na Wołyń, gdzie wziął w dzierżawę wieś Omelno, i tu w przeciągu trzech lat wzbogacił literaturę ojczystą niejednym cennym utwo-

rem. Ztamtąd wydał swoje *Poezye i Wędrówki literackie*, powieści *Szatan i kobieta* — *Ulana* i kilka pomniejszych, i zasilał artykułami swemi czasopismo: *Tygodnik petersburski*. Tu również zaczął pisać swój piękny poemat rycerski *Anafielas* i wydał pierwszą część jego *Witoloraudę;* dwie dalsze zaś części *Mindows i Witołdowe boje* wyszły dopiero w kilka lat później. W tym samym też czasie założył czasopismo naukowo-literackie *Ateneum*, i utrzymując je przez lat trzynaście prawie własnym kosztem, drukował w niém swoją starannie wystudyowaną pracę: *Ikonetekę polską*.

Rok 1838 stanowił epokę w życiu Kraszewskiego; w tym roku bowiem zawarł on związek małżeński z Woroniczówną, synowicą sławnego arcybiskupa, i osiadł w Gródku, który wsławił również w świecie literackiem znaczną liczbą dzieł swoich. Ztamtąd po kilku latach przeniósł się do własnego majątku do Hubina, a wkrótce potem powołany na kuratora gimnazyum osiadł w Żytomierzu, gdzie przez długi czas utrzymywał prawie wyłącznie cały ruch literacki i umysłowy. Te lata też, mianowicie od 1838 do 1850 stanowią — że tak powiemy — najpłodniejszy okres jego zawodu pisarskiego. Celniejsze utwory jego z tych czasów są: *Dwa a dwa cztéry* — *Majster Bartłomiej* — *Mistrz Twardowski* — *Całe życie biédna* — *Historya bladej dziewczyny z pod Ostrej-bramy* — *Ostatnia z książąt Słuckich* — *Stańczykowa kronika* — *Obrazy z życia i podróży* — *Historya Wilna* — *Studya literackie* — *Pomniki do historyi obyczajów w Polsce* — *Latarnia czarnoksiężka* — *Akta babińskie* — *Maleparta* — *Pod włoskiem niebem* — *Żacy krakowscy* — *Zygmuntowskie czasy* — *Pamiętniki nieznajomego* — *Sfinx* — *Milion posagu* — *Ostap Bondarczuk* — *Budnik* — *Ostrożnie z ogniem;* oprócz tego: *Wspomnienia Wołynia*, *Polesia i Litwy* — *Wspomnienia Odessy, Jedyssanu i Budziaku* — *Litwa*, *starożytne dzieje*, *ustawy*, *język*, *obyczaje*, *pieśni*, *przysłowia*, *podania;* i wiele prac pomniejszych.

Odwiedziwszy w r. 1848 po raz pierwszy Warszawę, znalazł już w tamtejszym świecie literackim utorowane dla siebie drogi rozgłosem swojego imienia i wywarł ożywczy wpływ na całe umysłowe życie stolicy, do którego rozbudzenia kilkunastoletnia prawdziwie posłannicza praca jego przeważnie się przyczyniła. W r. 1851, gdy w Warszawie założenie *Dziennika Warszawskiego* wpłynęło na rozszerzenie *Gazety Warszawskiej*, przyjął w niej Kraszewski stałe spółpracownictwo, pisywał wytrawne korespondencye o literaturze i sztuce, a w odcinku drukował powieści: *Dwa światy* — *Powieść bez tytułu* — *Interesa familijne*. Jednocześnie ukazały się w druku powieści: *Jaryna* — *Diabeł* — *Dziwadła* — *Złote jabłko* — *Tomko Prawdzic* — *Chata za wsią* — *Pragmatologion* — *Historya kołka w płocie* — *Abrakadabra* i kilka innych. Dalej w przemienionym w *„Kronikę“ Dzienniku Warszawskim* drukował w odcinku: *Choroby wieku*, gdzie chłostał jenialném piórem zgangrenowane materyalizmem społeczeństwo, a w *Dzienniku Literackim* we Lwowie *Wieczory Wołyńskie*. Wszystkie te prace mają wysoką wartość artystyczną i naukową, i ten okres jego autorstwa można śmiało nazwać najświetniejszym. W tych samych czasach próbował on także sił swoich — aczkolwiek z mniejszym powodzeniem — w innej gałęzi literatury, mianowicie w poezyi dramatycznej, dźwignął a raczej utworzył wspólnie z Ad. Miłaszewskim stały teatr polski w Żytomierzu, i napisał dla niego kilka komedyi, z których jednak tylko *Miód kasztelański* utrzymał się dotąd na repertoarzu scen polskich.

Rok 1859 był znowu niejako punktem zwrotnym tak w życiu jak i w pisarskiej działalności Kraszewskiego. W tym roku bowiem objął on redakcyę założonej przez bankiera Kronenberga *Gazety Codziennej*, przezwanej potem *Gazetą Polską*, zamieszkał stale w Warszawie, i gdy dotąd był przeważnie poetą i wielkie kwestye społeczne i polityczne poruszał tylko obrazowo w swoich powieściach i studyach literackich — to przeciwnie teraz stał się więcej statystą, szukał w życiu społecznem i politycznem stron praktycznych i podnosił różne wielkie kwestye będące na czasie. Zadanie takie — co nie trudno pojąć — nie było ani łatwe ani przyjemne; szlachetny reformista musiał walczyć z tysiącem przeciwności i sięgać ręką w niejedno gniazdo osie; ale ostatecznie musiano przecież przyznać mu zasługę, że przyspieszył i ułatwił rozwiązanie niejednej ważnej sprawy z niezaprzeczonym pożytkiem narodu. Obok tego jednak nie zaniedbywał Kraszewski powieści, i drukował w odcinku tej gazety: *Kopciuszka* — *Dolę i niedolę* i parę innych powieści. Nie długo jednak trwał ten niezawodnie świetny ale ciernisty jego zawód publicysty; wypadki warszawskie w latach 1861 i 1862 których indywidualność taka, jak jego, nie mogła być obojętnym widzem, zmusiły go opuścić Królestwo Polskie i osiąść za granicą. Kraszewski obrał na mieszkanie Drezno, gdzie pomimo uzyskania już w roku bieżącym prawa obywatelstwa w Austryi bawi dotychczas pracując ciągle i niezmordowanie. W pierwszych latach swego wygnania przedsiębrał dłuższe podróże do Niemiec, Włoch, Szwajcaryi, Francyi i Anglii pisując do *Gazety Polskiej* z drogi liczne korespondencye, w których złożył dowody wielkiego znawstwa sztuk pięknych, będąc sam wielkim ich miłośnikiem i dyletantem w malarstwie, rytownictwie i muzyce; widziano parę dość udatnych prób jego pędzla, kilka dzieł swoich sam ilustrował, a muzyką rad się zabawia w chwilach wytchnienia. W r. 1865 był spółpracownikiem wychodzącego przez jakiś we Lwowie Dziennika politycznego *Hasła*, a w ostatnich czasach zwróciwszy się znowu do poezyi dramatycznej, napisał kilka komedyi granych na naszej scenie, jako to: *Równy Wojewodzic* — *Ciepła Wdówka* — *Panie*

kochanku — i *Za króla Sasa*, tudzież kilka nowych powieści wydanych pod pseudonimem.

Oto w ogólnych rysach wielka, fenomenalna postać Kraszewskiego, oto wizerunek męża — mało powiedzieć — narodu, lecz wieku, gdyż na podobny geniusz chyba wieki złożyć się mogą. A przytem jakieżto serce wzniosłe i szlachetne, jaki majestat ducha, przyciągający do siebie wszystko magnetyzmem wcale nie tego świata. Takim mieliśmy szczęście poznać go, gdy przed rokiem niespełna odwiedził po raz pierwszy Lwów dla odczytów o Dantem, taki pozostał po nim obraz, wyryty głęboko w sercach naszych. I cóż moglibyśmy dodać jeszcze do wieńca jego sławy, co na uczczenie wielkich zasług jego dla narodu? O tych zasługach nie można wyrazić się trafniej, niż to uczynił sędziwy wieszcz nasz, Wincenty Pol, który witając Kraszewskiego po raz pierwszy, dziękował mu imieniem całej Polski za to, że nauczył ją czytać po polsku i szanować swoje; my zaś nie możemy zakończyć lepiej tego słabego szkicu, jak kładąc pod nim słowa toastu wniesionego na cześć Kraszewskiego we Lwowie:

Są śród narodu istoty wybrane,
Którym Bóg wielkie tajemnice wieści,
A w których sercu jak w arce schowane
Wszystkie nadzieje ludu — i boleści!

ANTONI MAŁECKI.

Wcale odmiennie od poprzedniej przedstawia się w naszym świecie literackim poważna postać Antoniego Małeckiego; gdy bowiem Kraszewski jest duszą i ciałem romantykiem, pisarzem przeważnie ludowym, to przeciwnie od Małeckiego wieje — że tak powiemy — duch klasycyzmu i rysuje się na tle wyobraźni cień togi akademickiej. Słowem jestto powaga naukowa, mąż surowych badań, poeta-filolog.

Małecki urodził się w r. 1821 w Obiezierzu w pobliżu Poznania. Pierwsze nauki pobierał w domu rodzicielskim, potem w gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, a w r. 1840 wstąpił na wydział filologiczny uniwersytetu berlińskiego. W owym czasie znajdowało się na uniwersytecie tym wiele młodzieży polskiej nietylko z Poznańskiego, ale także z Galicyi, Szląska, Królestwa Polskiego i Litwy; Małecki celował pomiędzy wszystkimi zarówno bystrością umysłu jak i zamiłowaniem do nauk poważnych. Najgorliwiej oddawał się pracom około literatury ojczystej, studyując ją gruntownie, a oraz kształcąc myśl, formę i język na wielkich wzorach narodowych i obcych. Temu też pociągowi do studyów klasycznych przypisać potrzeba, że Małecki, gdy dojrzała już twórczość jego ducha, nie poszedł zwykłym torem młodych talentów, próbujących lotu skrzydłami poezyi, lecz napisał pierwszą pracę swoją — prozą, a była to umieszczona w r. 1842 w *Orędowniku naukowym* rozprawa o Mickiewiczu, pełna erudycyi i trafnych spostrzeżeń.

W r. 1844 napisał Małecki swoją rozprawę akademiczną: *De accademia vetere* i uzyskał stopień doktora filozofii. Wkrótce potem mianowany został nauczycielem przy tem samem gimnazyum w Poznaniu, którego był niegdyś uczniem, miewał odczyty publiczne o celniejszych naszych poetach, a równocześnie zamieszczał szacowne literacko-naukowe poglądy w *Gazecie Poznańskiej* i w czasopiśmie *Rok, 1846*. Przedewszystkiem jednak zajmował młodą fantazyę uczonego profesora ideał dramatu narodowego. Uczuwając dotkliwie tę prawie dotąd jeszcze niezapełnioną lukę w literaturze naszej, przedsiębrał on z całym zapałem obszerne studya nad tym przedmiotem, i korzystając z wydanego właśnie podówczas dramatu Krasińskiego, *Irydjona*, napisał obszérną rozprawę o nim i rozwinął w niej bardzo zdrowe myśli o warunkach stanowiących podwaliny dramatu narodowego.

Rozgłos jego prac i nauki zwrócił nań wkrótce uwagę świata uczonego nawet za granicami kraju, i skutkiem tego został on w r. 1850 powołany przez rząd austryacki na katedrę nauk filologicznych do Krakowa, gdzie natenczas uniwersytet jagielloński częściowo zreorganizowany liczył w gronie swoich profesorów kilku bardzo znakomitych mężów. Spólnie z Win. Polem, Helclem i Zielonackim przyczyniał się Małecki gorliwie do rozbudzenia ducha narodowego w młodzieży akademickiej, wykładając przez lat cztery z wielką znajomością rzeczy i zamiłowaniem swój przedmiot, i z wykładów jego urosło bardzo cenne aczkolwiek nieuzupełnione dotąd dzieło: *Prelekcje o filologii klasycznej i jej encyklopedyi*. Dzieło to miało składać się z trzech części; ale tylko dwie pierwsze: *Znaczenie filologii* i *Encyklopedya jej* zostały ogłoszone drukiem: trzecia zaś część *dziejowo-literacka* i najważniejsza ze wszystkich niewyszła dotąd jeszcze z przyczyn niewiadomych.

Obok tych prac naukowych niespuszczał jednak Małecki z oczu ulubionego od młodości dramatu, i wzbogacił w tym czasie literaturę najprzód wybornym przekładem dwóch trajedyi Sofoklesa: *Elektra i Antigona*, z których pierwsza tylko była drukowaną w r. 1854, a następnie dramatem oryginalnym: *List żelazny*, który znalazł ogromny rozgłos w całej Polsce. W rok potem (1854) pojawił się drugi jego utwór dramatyczny: *Wieniec grochowy*, komedya osnuta na tle pamiętników Paska, która na długo pozostanie ozdobą repertoarza sceny narodowej.

Pod koniec roku 1854 przerwały nieprzyjaźne stosunki działalność jego akademiczną w Krakowie; rząd zainformowany fałszywie o stanie rzeczy, powziął niesłuszne podejrzenie, jakoby polscy profesorowie uniwersytetu rozbudzali ruch polityczny pomiędzy młodzieżą akademicką, i dekretem ministerstwa został Małecki wraz z Polem,

Helclem, Zielonackim i Dunajewskim usunięty z Krakowa. Małecki osiadł w Poznaniu i tam już drukował swój *Wieniec grochowy.* Wkrótce jednak ofiarował mu rząd austryacki katedrę filologiczną w Inszpruku, którą przyjął, a we dwa lata potem (1856) został powołany do Lwowa na posadę profesora języka i literatury polskiej, którą dotąd zajmuje.

Najnowszy peryod jego działalności literackiej jest cokolwiek mniej płodny w utwory oryginalne; w r. 1860 pojawiła się wprawdzie w *Kółku rodzinnem* scena z nowej tragedyi jego: *Jadwiga,* ale dotąd nie wyszła ona jeszcze z jego teki. Tem więcej zaś oddawał on się pracom krytycznym i naukowym. W *Czytelni dla młodzieży* w r. 1861 ogłosił ustępy z *Prelekcyi wstępnej* o literaturze; do *Biblioteki Polskiej* wydawanej przez Turowskiego zebrał: *Wybór mów świeckich, sejmowych i innych* z dodaniem obszernej rozprawy, a w *Czasopiśmie Biblioteki Ossolińskich,* w *Tygodniku Literackim* w Poznaniu i w *Książce zbiorowej* wydanej dla Wojcickiego w r. 1862 drukował ustępy z dzieła krytycznego: *O życiu i pismach Juliusza Słowackiego,* które dopiero w zeszłym roku wydał w całości; prócz tego wydane zostały staraniem jego pisma pośmiertne tego poety wraz z życiorysem jego i korespondencyami. Od kilku lat przerabia on do ogłoszenia trzy tomy *Prelekcyj o literaturze polskiej,* ale dotąd nic z nich nie wydał. Natomiast dokonał w roku 1863 innej bardzo ważnej dla literatury i narodu pracy, napisaniem najlepszej i najdokładniejszej dotąd *Gramatyki języka polskiego*, opartej na głębokich badaniach etymologicznych, która uwieńczoną została nagrodą przez Wydział krajowy i przepisaną do użytku dla szkół średnich i wyższych.

Tyle dotąd, a że będzie więcej — tego można oczekiwać słusznie po pełnym jeszcze czerstwości i siły uczonym mężu.

WINCENTY POL.

Zamykamy wreszcie tę szanowną grupę jednem z najświetniejszych imion polskiego Parnasu, pełnym sympatycznego uroku wizerunkiem prawdziwie narodowego śpiewaka i weterana literatury, Wincentego Pola. Do takich tytułów bowiem a z niemi i do miłości narodu ma Pol niezaprzeczone prawo; kto taką jak on pieśnią uwielbił „ziemię naszą,“ kto jak on czerpał życie dla swoich pieśni z krwi i kości narodu, temu należy się słusznie imię i dostojność wieszcza narodowego. O to — zdaje nam się — nie potrzebujemy spierać się z nikim; ale w naszem przekonaniu ma Pol jeszcze inną wielką zasługę w obec narodu, zasługę stawiającą go wyżej od wielu poetów równoczesnych, a mianowicie tę, że on pierwszy umiał napowrót odszukać zatraconą w upadku politycznym nić tradycyjną polskiego rycerstwa i patryotyzmu, i w utworach swoich przekazać narodowi w całej czystości tę wielką spuściznę przodków. Pol uczył nas szanować i kochać przeszłość dla utwierdzenia wiary w przyszłość narodu, bo gdzie nie ma pierwszego, tam i o drugiém mowa być nie może. Ale przystąpmy do życiorysu poety.

Wincenty Pol urodził się w r. 1806 w Galicyi, w chwili gdy cała Polska była — że tak powiemy — jednym wielkim obozem wojennym. Pierwsze lata młodości jego upłynęły wśród nieustannej prawie wrzawy wojennej w Lublinie, gdzie ojciec jego w czasie przyłączenia Lubelskiego do Galicyi piastował jakiś urząd austryacki. O naukach szkolnych nie można było nawet myśleć w tych czasach, i Pol też ograniczony był przez dłuższy czas tylko na dorywczą naukę domową; ale za to nie zbywało mu na sposobności do wzbogacania swojej wiedzy i fantazyi sposobem praktycznym. Mając przed oczyma wiele jeszcze postaci z ostatnich czasów Rzeczypospolitej, nabywał znajomości kraju i jego dziejów z tradycyi żywego słowa, i temu też zawdzięczał później poeta owę łatwość i wierność, z jaką w poematach swoich odtwarzał artystycznie przeszłość narodową. Później uzupełnił on swoje wykształcenie naukowe na uniwersytecie wileńskim, gdzie bawił przez lat kilka aż do r. 1831. Odbywszy potem całą kampanię w szeregach armii narodowej, które zagrzewał do wytrwałości i poświęcenia swojemi pieśniami Januszowemi, musiał z upadkiem rewolucyi wraz z innymi opuścić Polskę, i przepędził dłuższy czas na podróżach za granicą, przy którejto sposobności zapoznał się w Dreźnie z Mićkiewiczem; po kilku latach powrócił jednak do Galicyi i tu już stale zamieszkał.

Pierwszym utworem jego były wspomniane już *Pieśni Janusza*, ten prawdziwy patryotyczno-rycerski śpiewnik narodu, żyjący już oddawna w uściech ludu, a zawsze świeży i uroczy, jak duch, który z niego wieje, jak uczucie, które go ożywia.

Do tej samej kategoryi, co *Pieśni Janusza*, zaliczyć potrzeba także sławną w całej Polsce *Historyę szewca Kilińskiego*, którą umie już na pamięć każde dziécię polskie, tudzież opowiadanie *Wachmistrza Darasza* i kilka innych utworów tego rodzaju, umieszczanych po r. 1831 w rozmaitych dziennikach.

Później jednak zaczęła wyobraźnia poety zwracać się przeważniej ku świetnej przeszłości narodu, i na tem tle jasnym narysowała kilka bardzo pięknych obrazów w formie gawęd. Pierwsza z nich wyszła w roku 1840 pod tytułem *Przygody Winnickiego*, a po niej nastąpiły kolejno: *Senatorska zgoda — Sejmik jeneralny w Sądowej Wiszni — Gawęda przy kominie* i kilka innych pomniejszych. Prócz tych wysnuła jeszcze żywa fantazya poety w tym czasie cały szereg innego rodzaju — że tak powiemy — miniaturowych obrazków z przeszłości, które pod oryginalną nazwą *Szajne Katarynki* pojawiały się w rozmaitych pismach peryodycznych.

Obok tych prac poetycznych zajmował się też poeta z wielkiem zamiłowaniem naukami ścisłemi, a mianowicie przyrodniczemi, przedsiębrał obszerne studya geograficzne, etnograficzne i geologiczne, i pragnąc zastósować je w praktyce do ojczystej ziemi, odbywał długie podróże po całym obszarze ziem polskich. Te studya i podróże naukowe nie były też bezowocnemi dla literatury; z nich bowiem wysnuły się jego *Obrazy z życia i podróży*, z nich szacowna rozprawa naukowa: *Rzut oka na północne stoki Karpat*, i wiele innych etnograficznych szkiców i poezyi, a nakoniec im to jedynie zawdzięczać potrzeba ów najświetniejszy, pomnikowy utwór Pola: *Pieśń o ziemi naszej*, który sam jeden byłby dostatecznym, ażeby zapewnić nieśmiertelne imię swojemu twórcy.

W r. 1846, po nieszczęsnych wypadkach, które dotknęły także osobiście poetę i jego rodzinę, mieszkającą podówczas w obwodzie jasielskim, zamieszkał Pol dłuższy czas we Lwowie, i skłoniwszy ówczesną dyrekcyę Zakładu Ossolińskich do wydawania przepisanego statutami czasopisma literacko- naukowego, objął redakcyę tego pisma i skupił około siebie wszystkie ówczesne siły literackie. Ale rok 1848 przerwał to wydawnictwo, a z niém i ruch literacki we Lwowie na czas dłuższy.

Z końcem roku 1851 powołany został Pol przez rząd austryacki na katedrę profesorską do Krakowa, gdzie otrzymawszy tytuł doktora filozofii wykładał przez trzy lata geografię powszechną w połączeniu z etnografią i statystyką; ale przy końcu roku 1854 zmuszony był, równie jak Małecki i kilku innych, opuścić tę posadę. Odtąd zamknął się poeta na dłuższy czas w sobie i pracował w cichości, gromadząc materyał do nowych utworów poetycznych. Przez lat kilka nie brał prawie żadnego udziału w życiu publiczném, aż oto naraz posypało się jak z rogu obfitości w krótkich przestankach cztery największych poematów jego: *Mohort* — *Wit Stwosz* — *Stryjenka* — i *Hetmańskie pacholę*, w których poeta wyśpiéwał cały swój z tradycyi zaczerpnięty ideał dawnej świetności narodu.

Ale niestety prace te opłacił wieszcz hardzo drogo; wycieńczony niemi wzrok zaczął przygasać stopniowo, i dziś z bolem serca pisać nam przychodzi, że pozbawiony już zupełnie wzroku, oczekuje w Krakowie pory do operacyi, którą lekarze uznali za wskazaną. Wszakże pomimo tego nieszczęścia nie zachwiał się bynajmniej silny duch poety, lecz zastępując brak światła dziennego jasnością własną pracuje ciągle jako wierny towarzysz narodowego znaku. Już mało co widząc układał w r. 1864 i 1865 swoje wielce pouczające *Prelekcye o literaturze polskiej IX wieku* i *o muzyce religijnej*, które wyszły w druku podług zapisków stenograficznych; później utworzył trzyaktowy dramat wierszem pod tytułem: *Powódź*, który grany był kilkakrotnie we Lwowie, i poemat rycerski: *Wyprawa wiedeńska;* prócz tego zasila stale warszawskie pisma ilustrowane swojemi artykułami, a nakoniec w roku przeszłym, chociaż zupełnie już ociemniały, wyśpiewał i wydał drugą wielką pieśń na cześć Polski: *Pieśń o domu naszym.*

Taki jest dotąd ostatni rys w duchowym wizerunku tego poety, i oby Opatrzność dozwoliła mu uzupełnić go kiedyś tak, jak go rozpoczął!

Fr. Waligórski.

MUSZKA*)

CZYLI

WZAJEMNE DOPEŁNIENIE SIĘ.

STUDIUM KRYTYCZNE

JANA ZACHARIASIEWICZA.

Sąsiad nasz, pan Tadeusz, należał do tych ludzi, którzy zbyt wcześnie uroili sobie w głowie, że człowiek nie na to żyje na tym bożym świecie, aby rano się ubiérał, w południe szedł na obiad do angielskiego hotelu, po obiedzie na kawę do Lursa, a po przechadzce w Saskim ogrodzie na herbatę do JWPaństwa Prezesostwa. Wlazła mu do głowy myśl hipochondryczna, że każdy człowiek może w życiu coś dobrego dla ogółu zrobić a przynajmniej dla niego pracować.

Cały więc ranek siedział najczęściej w domu i porozkładał w koło siebie grube księgi. Często wziął pióro do ręki i coś na papierze kreślił. Kontentował się skromnym obiadkiem w najbliższej restauracyi. Po obiedzie nie pijał wcale czarnej kawy, a do państwa Prezesostwa chodził raz na dwa tygodnie. I wtedy nawet niegrał ani w domino ani w preferansa, ale wyzywał przestraszonych gości na jakieś niezwykłe dysputy o urządzeniach społecznych.

Takim trybem żyjąc nie nabrał Tadeusz tego „szyku,“ jaki do pierwszych cnót złotego młodzieńca się liczy. Ubiór jego, jakkolwiek od krawca pierwszego rzędu, nie wyglądał na nim, jakby tego życzył sobie artysta nożycowy. Prawe

*) Ustęp z obszernej pracy Jana Zachariasiewicza pod tytułem: „Bohaterowie i bohaterki w powieści.“ Studja krytyczne.

ramię miał zawsze wyższe, a głowę naprzód pochyloną, jak to widzimy u ludzi pracy. Ruchy jego nie znamionowały również człowieka w gimnastyce wyćwiczonego.

Najfatalniej zaś szło mu z konceptami w towarzystwie. Zagadniony nagle dowcipnie, nie miał w zanadrzu odpowiedzi, tylko musiał sięgać po nią do głowy. Tymczasem w tej głowie siedziały właśnie jakieś wielkie zadania społeczne, a zetknąwszy się z niemi zapominał o odpowiedzi. Tym sposobem przegrywał zawsze sprawę i uchodził między płcią piękną za człowieka bardzo rozumnego, bardzo godnego, bardzo szacownego, dla którego można mieć wielką cześć, wielki szacunek — i nic więcej!...

spojrzenia na gładkiego panicza z bródką „*à l' Henri quatre*,“ którego całą zaletą był uśmiéch ironiczny przeżyłego człowieka i pogarda tych, którzy pracują.

Niebardzo tém martwił się Tadeusz. Krzywdy wyrządzonej sobie nie czuł tak gorąco. Do przelotnych łask płci nadobnej nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi. Nie były bowiem one wyłącznym celem jego życia, jak to sobie ów gładki panicz założył. Miał on w sercu swojem wielkie za to wynagrodzenie. Poświęcony pracy dla dobra społeczeństwa, miał słodką nagrodę w uczuciu, że obowiązkom swoim zadość uczynił. To też nie potrzebował gniewać się na ludzi, ani ich przeklinać, jak to adepci Bajrona



Wypłynęła mała łódka, a na łódce jasnowłosa dziewczynka... (str. 27.)

czynić zwykli, którzy nic dla ludzkości nie zdziaławszy, mają do niej wieczne żałoby!...

Tym sposobem wszedł Tadeusz na drogę, w zwykłem znaczeniu tego słowa, bardzo niepraktyczną. Odbijał od dzisiejszego świata, jak stary gwardzista od rekruta wczorajszego poboru. Nie uznawał tej zasady, że dzisiaj szych i blichter wystarczy, jemu potrzeba było złota i prawdziwych kamieni. Toż wszyscy fabrykanci tak zwanych „imitacyi“ prześcignęli go, i podczas gdy tamci majątki robili, on ślęczał i piłował w swoim osamotnionym warsztacie drogie klejnoty.

Każdy dóm rad zapraszał go, a nawet strojono nim salony. I szeptano sobie do ucha, że to człowiek nadzwyczajnych zdolności, że niezawodnie wymyśli nowy system płanetarny... że pracuje dniem i nocą nad ekonomią społeczną... że napisał już wielką rozprawę o wojnie peloponezkiej... tłumaczy Sofoklesa — słowem był to człowiek powszechnej adoracyi całego męskiego towarzystwa, jaką mu z wielką ostentacją okazywano.

Płeć piękna, jak już powiedziano, miała dla niego wszelką cześć i szacunek — a dla innych miała czarne oczy, różowe usteczka, uśmiéch czarujący i sympatyczny uścisk rączki. Dla niego miała słowa poważniejszego kroju, dla innych szszebiotanie z przymróżonemi na pół oczami. Często spostrzegł Tadeusz, że rozmawiająca z nim z wszelką grzecznością płeć piękna, rzucała po za niego niecierpliwe

Tadeusz poświęcił się prawnictwu. U innych był to tylko środek zebrania jak najprędzej fortuny. U niego wyjątkowym sposobem była to jakaś dziwna, przez żadnego prawnika niepojęta misya. W tem stanowisku widział wiel-

kie powołanie bronienia prawdy, wykrywania cudzych zbrodni, i zadośćuczynienie obrażonym prawom ludzkości.

Rozumie się, że z takiem wyobrażeniem chodził sam jeden śród tłumu palestry, która jeszcze natrząsała się z niego. A że ludzie zwyczajni nie lubią między sobą żadnej wyższości, toż wyśmiewano nowożytnego Katona, i wszystkie jego czyny i słowa obrzucano śmiesznością. Tadeusz widział to, i w tej właśnie dysharmonii z światem zwykłym widział także własną wyższość.

— A to dziwak, dziwak nielada! — odparł kochany kolega — pięćdziesiąt tysięcy!...

— Nie koniec na tem! Przegrawszy proces, obłożył się pandektami, trzy miesiące siedział i żadnej pracy nie przyjmował. Napisawszy obszerną broszurę „o spadku,“ wydrukował ją własnym kosztem i rozdał między prawników. W tej uczonej rozprawie wykazał dokumentnie, że wyrok trybunału, jakkolwiek literze prawa odpowiada, jednak krzywdę czyni biednej wdowie, — i proponuje imie-



Potem zgiął prawą rękę i podał pod nóżkę amazonce... (str. 28.)

— Wyobraź sobie Alfredzie — rzekł razu jednego sławny mecenas do kolegi — wyobraź sobie, jaki to dziwny człowiek ten Tadeusz. Był interes złoty — pięćdziesiąt tysięcy do zarobienia — na klęczkach proszono go — odrzucił. Powiedział, że sprawa nieszlachetna!... Co większa!... Odszukał sam wdowę z sierotami, która była stroną przeciwną, ofiarował się jej i za własne pieniądze proces prowadził. Rozumie się, że w trybunale przegrał i jeszcze z własnej kieszeni koszta zapłacił!...

niem wszystkich przyszłych wdów i sierót, aby dotyczący paragraf ustawodawstwa w taki a w taki sposób objaśnić.

— Dziwak, wielki dziwak! Pięćdziesiąt tysięcy!...

Tadeusz wiele miał przyjaciół, którym z przyjaźni wyrabiał procesa i prowadził interesa. Każde zawiązujące się stowarzyszenie udawało się po radę i statuta do niego, a Tadeusz był najszczęśliwszym, jeźli kilka tygodni dla swego społeczeństwa mógł pracować — rozumie się bez pieniężnego wynagrodzenia.

Wyrządzilibyśmy krzywdę całej ludzkości, gdybyśmy chcieli twierdzić, że Tadeusz nie miał żadnego szczérego przyjaciela. Jak rozbójnicy i złodzieje poznają siebie wzajem i w wspólnym celu zbliżają się do siebie, tak też i ludzie szlachetnej duszy nie błądzą nigdy samotnie na świecie.

Pan Karol, zamożny obywatel, był prawdziwym przyjacielem Tadeusza. Znali się jeszcze ze szkół i tam na ławie układali sobie cały świat według swoich młodzieńczych wyobrażeń. Karol cenił wysoko piękną duszę kolegi i czuł się mimowolnie przywiązanym do jego cienia. On jeden pojmował i rozumiał go, bo sam szlachetną duszą swoją był mu bardzo blizkim. Zaprzysiężona w chwilach gorętszych przyjaźń przetrwała różne koleje losów i nic jej nie ziębiło.

Od czasu do czasu odwiédzał Karol Tadeusza, a te chwile były dla nich prawdziwem szczęściem.

Razu jednego przyszedł Karol do przyjaciela. Zastał go pogrążonym w pracy. W domu niebyło jakoś należytego porządku. Pokoje były zimne, posadzki zapuszczone. Ze wszystkich kątów wyglądała jakaś dziwna pustka, jakby jaki pustelnik tutaj przemieszkiwał. Smutno, bardzo smutno zrobiło się przyjacielowi. Zadumał się i rzekł po chwili:

— Kochany Tadeuszu! Coraz zimniej jakoś wygląda u ciebie. Trzydzieście kilka lat, to przecież nie jest wiek, w którym takiem zimnem moglibyśmy się otaczać. A tu w powietrzu czytam głoski Baltazara: Pustynia!

Uśmiechnął się cierpko Tadeusz, złożył pandekta i rzekł do towarzysza:

— Słusznie odczytałeś ten napis w atmosferze mego mieszkania. Jest w tem wielka prawda. Człowiek z prawością w duszy czuje się z każdym dniem coraz więcej samotnym na świecie!... Koledzy, przyjaciele, bracia, wszystko to odbiega go, i zostaje sam jeden!... Wierzaj mi Karolu! Miałem służącego, który widząc, że u mnie nie grywa się w karty, ani gości codziennych nie mam na wieczorze, z czegoby niejaka korzyść dla niego się upiekła — opuścił mnie i poszedł innej służby szukać!... Miałem agenta, któremu drobne interesa poruczałem. Ten widząc, że przez trzy tygodnie żadnej sprawy bogatszej nie przyjmowałem, — odstąpił mnie!... Miałem kanarka, który mi szczebiotał w samotnem mojem mieszkaniu. Nie wiem dla czego, ale może dla tego, że z nim nie pieściłem się — wyjął drut dzióbem i poszedł na dach między wróble, aby z niemi kraść sobie pożywienie!... Miałem w końcu psa, a ponieważ nigdy go nie biłem, poszedł gdzieindziej na służbę!...

Karol słuchał przyjaciela z wielką uwagą. Potem wstał i zaczął się w milczeniu przechadzać po izbie. Zdawało się, że słowa Tadeusza mocno go wzruszyły. Przemyśliwał długo nad odpowiedzią, ale zamiast odpowiedzi, wyjaśnił czoło, a zbliżywszy się do przyjaciela rzekł do niego:

— Mówisz jak hipochondryk, kochany Tadeuszu! Zapracowałeś się i zbyt czarno widzisz świat przez źrenicę przyćmioną. Trzeba ci trochę świeżego powietrza i rozleglejszego widoku nad te cztery ściany. Wierzaj mi, że jest coś sympatycznego między człowiekiem a tem, co go otacza. Gdybym ustawicznie jak ty z tego okna miał przed sobą widok na ten napis olbrzymi: „Cerownik bez szwu,“ dalej: „Lekarstwo doktora Gębickiego na ból zębów,“ i poniżej: „Trucizna na myszy;“ a tam dalej: „Wyszynk wódki i rozolisów“... ręczę ci, żebym za dwa tygodnie popadł w jak najczarniejszą melancholię!.., Pole otwarte, przecudna natura... drzewa, góry, łąki, lasy... to ożywia duszę i serce posila. Oddéchamy pełną piersią, krew obiega nam szybciej, i radzi cieszym się z życia!,.. Przyjedź jutro, pojutrze do mnie, a wszyscy radzi będziemy ci. I tak nawet nie znasz moich krewnych, a z nimi tyle o tobie mówię!

Tadeusz chciał z razu wprost podziękować przyjacielowi za jego troskliwość. Ale spojrzawszy przypadkiem przez okno i wyczytawszy po raz tysiączny: „Cerownik bez szwu“ i „Lekarstwo Gębickiego,“ skrzywił się i postanowił uczynić zadość prośbie przyjaciela. Chciał choć raz w życiu widzieć wszystko całe i zdrowe, gdzieby nie trzeba było ani cerownika ani mixtury Gębickiego.

Byłoto w maju, który wyjątkowym u nas sposobem był wtedy piękny i pogodny. Wioska Karola leżała w pięknej okolicy nad Wisłą. Szerokie pola zieleniły się jasną barwą. Sady chat wieśniaczych stały w pełnym kwiecie. Powietrze napełnione było jakąś wonią balsamiczną, która dziwnie wpływała na umysł młodego mecenasa.

Wciągając całą piersią powietrze czyste, wonią kwiatu zaprawione, zdawało się Tadeuszowi, że przed jego oczyma roztacza się świat daleko piękniejszy, niżeli go sobie wyobrażał. Przynajmniej znikł mu już raz z oczu „Cerownik bez szwu“ i „Lekarstwo na zęby.“

Karol patrzał z ukosa na przyjaciela i uśmiechał się. Zbliżając się do kopców rodzinnej wioski, stawał często w powozie, jakby czegoś wyglądał. Nareszcie kazał stanąć woźnicy tuż pod laskiem świrkowym.

— Możemy ztąd już piechotą dojść do dworu — rzekł do Tadeusza biorąc go za ramię — a właśnie chciałbym cię przeprowadzić przez jednę z piękniejszych partij mego majątku.

Tadeusz usłuchał, a wyskakując z powozu na ziemię czuł wyraźnie, że mu sił przybyło. Skierowali kroki na ścieżkę, a powóz powlókł się drogą zwolna do dworu.

Ścieżka zaciemniała się coraz więcej. Chłód był przyjemny, bo koło południa słońce już dobrze dogrzewało. Leśne ptastwo szczebiotało po gałęziach. Lekko przeciągał

wiatr i szeleścił po iglastych konarach, wydając takim lasom właściwy przyjemny poświst.

Obaj przyjaciele szli w milczeniu. Zdawało się, że każdy z nich używa tej błogiej ciszy, tego roskosznego spokoju, jaki czuje w duszy każdy mieszkaniec wielkiego miasta, gdy krzyk i wrzawę za sobą zostawia.

Zdaje się, że sama natura przygotowywała ich do jakiegoś niezwykłego widoku. W miarę tego, jak dalej postępowali, uciszało się ptastwo, a ścieżka stawała się coraz ciemniejszą. Wtem nagle straciła się ścieżka, a niespodziany widok roztoczył się przed nimi.

Była to cudna polanka śród najgęściejszego lasu. Jedną stroną wchodził staw w tę polankę i niknął w dali za zielonym brzegiem drzew iglastych. Do koła osłoniony był wysépkami trzciny i sitowia.

Tadeusz stanął i wpatrzył się z roskoszą w ten widok niespodziewany. Serce jego otworzyło się i pełnym haustem wciągnęło w siebie ten piękny obraz. Uczuł przyjemność, jakiej już dawno nie doznał, a pulsa jego zaczęły bić raźniej.

W tej chwili, z poza zielonego brzegu drzew iglastych wymknęła się jakaś cicha piosenka, odśpiewana drżącym głosikiem, ale pewnym, że go nikt nie słucha... Powoli i uroczo ślizgały się po fali tony pojedyńcze i ginęły w wyspach sitowia, jak ginie każdy głos serca, każde wołanie duszy tęskniącej!... Powoli, powoli przycichał śpiew... a za to coraz głośniej słychać było pluskanie wiosła, a szerokie kręgi fali roztaczały się coraz dalej, coraz dalej, aż po sam brzeg, gdzie stał Tadeusz.

Była to jakaś wyjątkowa chwila w duszy prawnika. Wszystkie pandekta zblakły przed nim i pisane ustawy, a przed jego duszą zaczęła się rysować jakaś nowa, dotąd nieuwzględnicna ustawa natury, jakiej bezkarnie nikomu przekraczać nie wolno!...

Wreszcie zaruszały się trzciny i sitowia po drugiej stronie stawu, a na czystą, jak niebo błękitną przestrzeń wody, wypłynęła mała łódka, a na łódce jasnowłosa dziewczynka w zielonej bluzie i z wiosłem w ręku.

Nieuwzględniony dotąd paragraf odwiecznej ustawy stanął teraz żywo przed oczyma prawnika.

— Muszka! Muszka! — zawołał Karol, wskazując ręką na łódkę.

— Muszka? Muszka? — powtórzył zwolna prawnik, a wyraz smutku przebiegł po jego twarzy.

— Dla czego tak smutne wrażenie sprawia na tobie nasza Muszka? — zapytał z uśmiechem Karol.

Tadeusz patrzał czas niejaki na ten czarodziejski obraz, wstrzymał oddech, aby zjawiska tego nie płoszyć, a potem rzekł zcicha do Karola:

— Dlatego zasmuciłem się, że ją nazwałeś „muszką,“ efemerydą, która tylko chwil kilka ma życia!

— Nie obawiaj się — odparł śmiejąc się Karol — nasza „Muszka“ żyje już lat siedmnaście, a dzięki Bogu może jeszcze żyć przeszło pół wieku. Jestto miłe, wesolutkie dziéwczę najbliższego naszego sąsiedztwa, i dlatego nazywamy ją „Muszką,“ bo jest podobną do owej, wiecznie ruchliwej, wiecznie podlatującej muszki o złotych skrzydełkach, która jakby ustawicznie przedrzeźniać nam się chciała. Spłosz ją z jednego miejsca, ona siedzi tuż obok — spędź ją z cukru, to siędzie na kożuszku od śmietanki — odpędź od śmietanki to siędzie na cukrze. I tak nie dasz jej rady, i musisz w końcu wejść z nią w sojusz, i pozwolić jej albo jedno, albo drugie. Innej rady nie ma z takiem małem stworzeńkiem, a takiem właśnie jest nasza — Muszka!...

Obraz skreślony przez Karola sprawił dziwne wrażenie na Tadeuszu. Wpatrując się w zjawisko, zdawało się Tadeuszowi, że rzeczywiście widzi u ramion młodej dziewczynki wystające złote skrzydełka, które lekko poruszały się w wietrze zachodnim... Były to wierzchołki trzciny i sitowia, które z małej wysépki wychylały się po za zieloną bluzką pięknej świtezianki... A kręgi rozchodzące się od czółenka toczyły się coraz dalej po wodzie, dążyły do brzegu, aż wreszcie lekka fala uderzyła do stóp Tadeusza. Tadeusz nie usunął się bynajmniej, bo zdawało mu się, że to jakiś tajemniczy posłaniec, który od łódki zbliżył się do niego!..

Tymczasem spostrzegła dziewczyna stojących nad drugim brzegiem — krzyknęła z cicha — i jak muszka złotoskrzydlna zwróciła się nagle wraz z czółenkiem i przepadła za ziolonym wałem drzew iglastych...

Tadeusz stał długi czas w milczeniu i chwytał uchem lekki odgłos wiosła po wodzie, chwytał szmer liści i świst wiatru... Żywy paragraf nieuwzględnionej dotąd ustawy już się więcej nie okazał!...

W domu Karola przyjęto Tadeusza z otwartemi rękami. Żona, matka i jakaś ciotka, wszystkie poczuwały się do obowiązku, okazać szlachetnemu przyjacielowi Karola takie same przywiązanie, jakie sam Karol miał dla niego.

I rozpoczęły się przechadzki i herbaty pod dużym orzechem, gawędki i zabawy domowe. Karol nie wypuścił z ręki Tadeusza przez cały dzień, ciągle starał się okazać mu coś nowego. Oprowadzał go po gospodarstwie, tłómaczył prawnikowi użycie niemieckiego pługa i belgijskiego extyrpatora, wtajemniczał go w orkę płytszą i głębszą, a nawet przy nim kazał urządzać dreny. Wszystko to miało na celu rozerwać Tadeusza i zakryć mu ów stereotypowy napis: „Cerownik bez szwu“ i „Lekarstwo na zęby!...“

Zdawało się na pozór, że Tadeusz zapomniał już o cerowniku, bo nigdy o nim nie wspomniał. A nawet nowe, wiejskie wrażenia tak go roztargnęły, że Karol tylko się uśmiechał patrząc na niego. Czasami nawet z boku obser-

wował roztargnionego przyjaciela i zdawało się, że jakby coś przygotowywał dla niego.

Po kilku dniach widocznie zmęczył się Tadeusz temi oznakami gościnności. Karol widział to i uśmiechał się do skrytych myśli swoich. Widział wyraźnie, że Tadeusz chciałby chwilkę być samotnym, być samym sobą. Rzekł więc do niego:

— Wiem, jak natarczywa gościnność czasem utrudzić może. Dlatego od dzisiaj, zostawiam cię na dni kilka własnej woli.

Tadeusz uścisnął rękę przyjaciela i przyznał sam, że więcej swobody zarządzenia sobą byłoby mu bardzo na rękę. Karol uściskał przyjaciela i puścił go samopas, jak się puszcza z klatki ptaszka.

Zdaje się, że Karol nie czynił tego bez myśli ubocznej. Wypuściwszy ptaszka, ciekawy był gdzie ptaszek poleci. Zdaleka więc śledził go.

Nie przeczuwając tego Tadeusz wziął prędko kapelusz i wyszedł ścieżką w las, aby być samym z swemi myślami.

Szedł ścieżką coraz dalej, minął kilka krzyżowych dróg, i zdążył wreszcie nad brzeg tego samego stawu, na którym przed tygodniem pojawiła się owa rusałeczka w zielonej bluzie.

I dziwnym jakimś przypadkiem stanął w tem samem miejscu i długo, długo patrzał po za ten zielony wał drzew iglastych, z poza którego wypłynęła ona z piosenką na ustach, z wiosłem w ręku jakby z berłem...

Późno wrócił do dworu. Karol uśmiechał się patrząc na przyjaciela i motał sobie coś na wąsy. Zapytał Tadeusza o przechadzkę, a Tadeusz odpowiadał jakoś wymijająco, jakoś jąkał się i oczy w ziemię spuścił.

Kilka dni trwała swoboda gościa. Dwa razy na dzień wychodził ze dworu i krętemi ścieżkami, jakby się przed światem ukrywał, zdążał zawsze do stawu i długo, długo wpatrywał się w daleki brzeg sitowiem zakryty...

O „Muszce“ nigdy z Karolem nie mówił. Często naprowadzał rozmowę na ten staw prześliczny i zdawało się, że mierzył do rusałeczki w zielonej bluzce; ale Karol jakoś tak dziwnie był niedomyślnym, że o rusałce ani słowem nie wspomniał. Tadeusz widocznie unikał wspomnienia o niej, chciałby jednak, aby przyjaciel mówić zaczął.

Po kilku dniach wreszcie, gdy przechadzki Tadeusza nad brzegiem stawu trzy razy na dzień się powtarzały, pchnął Karol posłańca w okolicę i zaprosił sąsiadów na wieczorek.

Tadeusz nie pytał go, kto będzie na tym wieczorku, ale jakiś głos wewnętrzny kazał mu się ubrać staranniej niżeli zwykle. Pokojowiec Karola widział nawet, że Tadeusz kilka kamizelek zmieniał, próbując, która mu będzie do twarzy.

Zaraz z południa zaczęli się goście zjeżdżać. Karol, matka jego i żona przyjmowali gości w salonie. Tadeusz patrzał ciekawie przez okno. Ale jakoś za mało przestrzeni widział przez okno. Wyszedł na ganek, zkąd można było widzieć drogę prowadzącą do sąsiedztwa przed stawem wśród lasu...

Długo stał Tadeusz i patrzał na tę drożynę. Wreszcie okazał się ekwipaż i prócz tego dwóch jeźdźców na koniu.

Widok ten pomieszał jakoś myśli prawnika. Nim jeszcze mógł powziąć jakie postanowienie, przygalopowały dwa rumaki przed ganek i zaryły kopytami w drogę zwirową.

Na pierwszym rumaku jechał jakiś młody mężczyzna, na drugim — Muszka!... Miała jasno-szafirową amazonkę, kapelusik węgierski z białym piórkiem i duńskiego koloru rękawiczki...

Tadeusz nie wiedział co ma zrobić. Rumak mężczyzny zaczął się niepokoić. Służba gdzieś zastrzęgła...

Tadeusz zbliżył się do amazonki... wybełkotał kilka słów... przepraszał za coś... potem zgiął prawą rękę i podał pod nóżkę amazonce.

Amazonka pełnem okiem spojrzała na wysokie czoło prawnika, uśmiechnęła się przecudownie i z długiej szaty wysunęła drobniutką nóżkę, opierając ją na podanej ręce...

Młody mecenas uczuł w ręku prawdopodobnie po raz pierwszy żywy paragraf ustawy ważnej dla całej ludzkości, i odtąd nie wiedział, co się dalej z nim stało. Karol zauważał tylko, że Tadeusz wszedł do salonu z wykręconym na kark fontaziem od chustki, że się witał ze znajomymi, jakby ich dopiero po raz pierwszy obaczył, a nieznajomym wcale się nie prezentował.

Karol uśmiechnął się i zostawił prawnika własnemu przemysłowi.

Wyrządzilibyśmy wielką krzywdę całemu rodzajowi płci nadobnej, gdybyśmy chcieli twierdzić, że Muszka nic a nic nie wiedziała o tym dziwnym nieporządku, jaki zakradł się w duszy i na ciele biednego prawnika, choćby nawet mniej lat miała niżeli siedmnaście.

Z figlarnym uśmieszkiem, z błyszczącemi oczkami weszła do salonu. Na liczne powitania odpowiadała gestem i frazesem, a chociaż ustawicznie w przeciwną stronę od prawnika się patrzała, jednak zdaje się, że go dobrze widziała, bo kobiety zupełnie inaczej widzą niżeli mężczyźni.

Za chwilę dopiero mógł Tadeusz przypatrzyć się tej rusałeczce nadwiślnej. To też patrzał pełnem okiem na to przecudne, wiecznie ruchliwe i jak ptaszyna wiecznie szczebiotliwe dziécię... a patrząc w te czarne oczka, jak w niebo otwarte, doznawał roskosznego zachwycenia... Bo i cóż to było za dziécię! Wyobraźcie sobie kwiat jabłoni, który jest niby biały i niby różowy! Barwy jego odgadnąć nie można, bo tak jest biały, że za oczy chwyta, a wszystko w około zdaje się brudnem, bezbarwnem, podczas gdy własnej jego barwy właściwie ocenić należycie nie umiémy... Takim

był ów aniołeczek o czarnych oczkach i nosku do góry zadartym!...

I w samej rzeczy aniołeczek ten miał istne niebo w oczach swoich! Była to dusza tak młoda, że ze złotych motylich jej skrzydełek nie zdmuchnął jeszcze żaden złośliwy wietrzyk złotego proszku!... Na tej różanej twarzy nie powstało jeszcze żadne nieprzyjemne uczucie, żaden ból, choćby tylko chwilowy, niepozostawił tam śladu. Na prześlicznych usteczkach grał uśmiech wyniesiony wprost z nieba, a nim odleciał, pokopał psotnik małe dołeczki po tej twarzy młodziutkiej, które aniołkowi jeszcze więcej dodawały uroku i wdzięków...

I pomyślał sobie Tadeusz:

— Piękna i świeża to dusza, jakby dzisiaj dopiero wyszła z rąk stwórcy. Świat nie tknął się jeszcze dziewiczej jej szaty, ona żyje i marzy, jak żyją i marzą aniołowie w niebie. Skarb to wielki, skarb prawie dzisiaj nie znany, gdzie świat już w pierwszem rozkwiciu wyziębia duszę złowrogiem rozczarowaniem i twarz anioła wykrzywia szyderczym uśmiechem potępienia!... Łódka jej życia pływa po wierzchu modrych głębin, jakby płynęła po błękitnych niebiosach!... Ona nie zna, co to kolce życia, gdzie się zjawi, wnosi z sobą szczęście i radość!... Dusza cierpiąca orzeźwia się patrząc na nią, jakby tchem wiosennym!...

Tak myślał sobie Tadeusz i lękał się zbliżyć do tego nowego widma, aby go nie spłoszyć...

Dopiero po niejakim czasie przypomniał sobie Karol, że przyjaciela swojej kuzynce nie przedstawił. Poskoczył do niego i wziął go za rękę.

— Przedstawiam kuzynce Muszce mego przyjaciela pana ***, rzekł z uśmiechem do Muszki i zniknął w tłumie.

Tadeusz pomyślał chwilkę, rozdarł rękawiczkę, trącił jakąś otyłą ciocię i ozwał się po chwiii:

— Słyszałem kilkakrotnie, że panią Muszką nazywają. Intryguje mnie ta nazwa... możebyś mi pani wyjaśniła...

Muszka posunęła się na kozetce na znak, aby Tadeusz przy niej usiadł i rzekła:

— A tak nazywają mnie Muszką, chociaż Bóg jest świadkiem, że do tego upartego, szkaradnego stworzenia nie jestem podobną. A zkąd to powstało, zaraz panu wyjaśnię. Nazywam się Klementyna. Babcia nazywa mię Mania. Ciocia zrobiła z tego Musia, a świat złośliwy „Muszka!“ I tak jestem teraz Muszką, i nic nie pomoże aui prośba ani płacz...

Ostatnie słowa wymówiła Muszka tak smutno, że Tadeuszowi o mało że serce nie pękło... I byłby może rzeczywiście szwank jaki poniósł, gdyby nie był w tej chwili przystąpił do niego jakiś jegomość wąsaty.

— Nie traćmy czasu panie Tadeuszu — szepnął mu do ucha — brakuje czwartego do preferansa!

Mimo wstrętu do kart, obrócił się pan Tadeusz, pożegnał Muszkę i poszedł za jegomością, któremu strata czasu tak boleśnie leżała na sercu. Tadeusz poszedł, bo wiedział, że na dłuższą konwersacyę z „Muszką“ braknie mu konceptu. Muszka odprowadziła prawnika czarnemi swemi oczkami aż na próg przyległego pokoju, a zwróciwszy się potem do cioci, zaczęła jej coś kłaść do ucha, przyczem obie chichotały i ciągle na próg przyległego pokoju patrzały.

Skończył się preferans i wieczorek, a słońce na drugi dzień tak samo z jasnego nieba świeciło, jak wczoraj i przedwczoraj. Tadeusz dziwił się, że wszystko wkoło niego tak samo wygląda, jak było przed kilkoma dniami. Zdawało mu się, że wszystko powinno inaczej wyglądać. Karol ten sam uprzejmy uśmiech miał na twarzy, żona te same usta na pół otwarte, a ciocia ten sam kornet przezroczysty z dużemi szlarkami, który codziennie nosiła.

Przed Tadeuszem jednak otwierał się dzisiaj świat inny. Drzewa, łąki, staw i groble wyglądały inaczej. Przy obiedzie na samym środku stała — Muszka czarnooka. Na talerzu skakała i kręciła się wkoło. Chciał pieczeń pokrajać i o mało że jej tej drobnej nóżki nie odciął, która wczoraj w miękkim prunelowym buciku tak elastycznie oparła się na jego ręce...

I trwały te psoty złych duchów coś ze trzy dni. Karol patrzał się z boku na Tadeusza i uśmiechał się. O wieczorku, o Muszce ani słowa nie wspomniał, chociaż kilka razy zdawało się Tadeuszowi, że już mówić zacznie...

Na trzeci dzień wszedł Karol do pokoju Tadeusza i rzekł:

— Dzień prześliczny — może odwiedzimy kuzynowstwo w sąsiedztwie. Pani Maciejowej podobałeś się, prosiła, abyśmy obaj kiedy do niej zagościli.

Tadeusz spojrzał na twarz przyjaciela, aby z niej wyczytać, czego w słowach wyczytać nie mógł. Twarz Karola była w tej chwili tak jakoś pusta jak biała kartka papieru. Tadeusz wreszcie zgodził się na to. Za dwie godziny byli już w sąsiedztwie.

Babcia, ciocia i mamcia przyjęły nowego gościa nadzwyczaj uprzejmie. Na samym końcu witała go Muszka. Była dzisiaj w tej samej zielonej bluzce, w jakiej widział ją Tadeusz na stawie. Skoczyła kilka razy po salonie, ukłoniła się Tadeuszowi, podała drobniutką rączkę Karolowi i pobiegła do drugiego pokoju.

Dawny, wesoły przyjaciel domu, którego nazywano panem pułkownikiem, zagarnął zaraz Tadeusza do siebie, wypytując go o konstellacyę europejską. Pułkownik, jako człowiek dawnej daty, nie puszczał tak łatwo stanowiska, które zdobył. Mimo wszelkich wysileń babci, cioci i mamci nie puścił Tadeusza. Wcisnął go do kąta i własnym krzesłem wyjście mu zabarykadował. Tadeusz chcąc niechcąc musiał prawie cały czas poświęcić rozmowie z weteranem.

Muszka tymczasem biegała po salonie i robiła co mogła, aby jakąś uwagę zwrócić na siebie. Snać to jej nie wystarczało, bo co kilka minut przybiegała do pułkownika z jakimś wyszukanym interesem.

— Czy prawda pułkowniku, że dzisiaj wtorek? — zapytała biorąc go za rękę — Frania mówi że środa.

— Niech pan pułkownik nasz spór rozstrzygnie — szczebiotała drugim razem — Andzia powiada, że jutro odpust w Sienkowcach.

— Pułkowniku, zdaję się na sąd waszeci — Frania twierdzi, że Napoleon sam płynął do Anglii podczas tej burzy.

— Czy to być może, że gieorginiom można według kaprysu barwę nadawać?

— Czy zielony kolor lepiej blondynce do twarzy czy brunetce?

— Pułkowniku, Andzia powiada, że szydełkiem można całą kołdrę zrobić —

Za wiele było to już pułkownikowi. Dziesięć razy przybiegała do niego, dziesięć razy dawał jej najdokładniejsze odpowiedzi. O Napoleonie, gieorginiach, zielonym kolorze i odpuście w Sienkowcach mówił jeszcze z dobrą fantazyą, głaszcząc swoją faworytkę pod bródkę. Ale gdy o robotę szydełkową zapytała, odfuknął stary weteran:

— W imię Ojca i Syna!... Cóż to na starość chcecie zrobić z pułkownika! Czy chcecie, aby wam dawał lekcye szycia i haftu?...

Po chwili jednak roześmiał się, przytulił do siebie rozpieszczone dziécię i rzekł;

— Odgaduję twoją taktykę przemyslna Muszko! Wiem, wiem, o co ci chodzi!... Zaraz wypełnię twoje życzenie...

Rzekłszy to wstał z krzesła i otworzył wyjście dla Tadeusza. Widząc to Muszka, chwyciła go za rękę i tak go serdecznie pocałowała, tak jakoś dziwnie przycisnęła się do jego ramienia, że stary pułkownik długo w twarz jej patrzył a potem rzekł:

— Psotnico! Takaż to nieszczérość wkrada się w młode serce twoje! Mam być konduktorem twego afektu, który kto inny wywołał?... Gdybym siedział z księdzem proboszczem, pewnie nie pytałabyś mnie się tyle razy... niechciałabyś wiedzieć odemnie, czy szydełkiem można cały dywan wyrobić... pewniebyś tak serdecznie nie pocałowała mnie w rękę!...

Muszka zarumieniła się na te słowa i pobiegła jak kula do Andzi i Frani.

Tadeusz zarumienił się także, ale nie miał jakoś gdzie pobiegnąć, więc został na miejscu.

Za kilka tygodni, które upłynęły śród zabaw i wycieczek do kuzynowstwa za stawem wziął Karol Tadeusza za rękę i rzekł:

— Pójdźmy usiąść pod lipę. Prześliczny jest ztamtąd zachód słońca!... Mam z tobą o ważnej rzeczy pomówić.

Tadeusz zarumienił się. Widząc to Karol uśmiechnął się i prawił dalej:

— Widzę, że jesteś bardzo domyślnym. Odgadłeś, o czem z tobą mówić zamyślam.

Obaj usiedli pod lipą. Tadeusz ścisnął przyjaciela za rękę i posunął po czole, jakby chciał strącić ztamtąd cisnące się gwałtem myśli. Słońce zniżyło się już znacznie ku ziemi i purpurowem światłem odziało wierzchołki drzew.

— Muszka kocha cię — rzekł po chwili milczenia Karol — o tem chciałem z tobą pomówić.

— Muszę cię uprzedzić — poderwał szybko Tadeusz — że znając dobrze siebie, nigdy pannie Muszce nie dałem powodu...

Głos jego drżał widocznie, twarz przybladła, gdy te słowa wymawiał. Karol uśmiechnął się i mowił dalej:

— Serce nie jest pieniaczem i o powody tego lub owego nigdy procesować się nie będzie... Mówisz, że znasz siebie... cóżby to mogła być za przeszkoda?... Zdaje mi się, że przeciwnie... jeśli znasz siebie, to powinieneś cieszyć się z takiego zbiegu...

Zasępiła się twarz Tadeusza. Podparł ręką głowę, spojrzał ożywionem okiem przed siebie i odparł:

— Wierzaj mi Karolu, że potrąciłeś rzecz nadzwyczaj dla mnie drażliwą. Przewiniłem w obec ciebie, żem zaraz z początku nie wyspowiadał się przed tobą. Myślałem, że to przejdzie i śladu po sobie nie zostawi. Tymczasem inaczej się stało. Doznaję tak dziwnego uczucia, o jakiem dotąd nie miałem wyobrażenia. Nie potrzebuję ci mówić, że powodem tego uczucia jest — Muszka!

— Choć milczałeś, ale co od ciebie słyszę, nie było dla mnie tajemnicą! Przeczuwałem, że jakiś nowy paragraf wkręca się w twoje pandekta... Cieszyłem się z tego, i nie pojmuję, jak teraz mówiąc, że znasz siebie...

— Tylko posłuchaj dalej. Mówiłem, że znam siebie i dla tego sądzę, że jak najprędzej powinienem zrzec się wszelkich myśli względem Muszki...

— A to jakiem prawem?

Tadeusz westchnął, pomilczał chwilkę, a potem rzekł z bolesnym uśmiechem:

— Muszka jest to... przecudna akwarela, na którą można się popatrzyć, ale nie trzeba jej się dotykać. Jeszcze więcej, jest ona podobną do owych pięknych kwiatów cichego Oceanu, które widzi żeglarz przed sobą, a które znikają, gdy się okręt do nich zbliża... bo one nie były z ziemskich barw utkane, tylko były owe psotnicze *fata morgana*... Muszka jest to aniołek, który choć z nieba na ziemię zesłany nie wie jednak jeszcze o tem, że chodzi po ziemi!... Nie zna praw ziemi, nie wie, że życie to trud i praca... I cóżby taki aniołek robił obok mnie? Ja widzę w życiu

ciernie i kolce — widzę przed sobą tylko pracę i obowiązki... jabym zatruł cały raj tego aniołka!

Rozśmiał się na to Karol, wziął Tadeusza za rękę i rzekł do niego:

— Myślałem długi czas nad tem, coś mi powiedział. I właśnie zdaje mi się, że — Muszka uzupełni twoją istotę!

— Jak to rozumiesz? — zapytał ciekawie Tadeusz, i z wyrazem oczekiwania spojrzał na przyjaciela.

Karol namyślił się chwilkę i rzekł z oznaką wewnętrznego zadowolenia:

— Posłuchaj z uwagą co ci powiem. Tyś od najmłodszych lat poczuł się do świętych dla społeczeństwa obowiązków. W tej myśli, w tem uczuciu wzrosłeś, i całe życie włożyłeś w to piękne, wzniosłe uczucie. Po tej drodze pojedziesz dalej, bo to już zrosło z duszą, z krwią twoją... Ale ogrom tej pracy i nadziei, jaką do takich prac przywiązujemy, przygniata chwilami każdy, choćby najdzielniejszy umysł! Najwaleczniejszy żołnierz opuści często z trudu ręce i zapragnie wypoczynku... Czyż w takich chwilach wypoczynku, gdy pierś twoja nowego do pracy nabiera oddéchu... czyż w chwilach takich może być coś milszego dla duszy, jak widok takiego jak Mania aniołka, który z uśmiéchem na ustach wygładzi zmarszczone czoło twoje i nowe życie tchnie w twoje serce ciężką pracą skołatane?... Ona będzie ci ową szczebiotliwą ptaszyną, której radzi przysłuchujemy się, nim obowiązki do nowej pracy nas powołają!... Wierzaj mi, zatopiwszy się w jednej i tej samej myśli przez czas dłuższy, zaczynamy nagle czuć trwogę i zwątpienie o własnych siłach... A jestto tylko wycieńczenie sił naszych i nic więcej... Mania, która zna życie tylko z błękitnej jego powierzchni, której głębie i tonie odwagi nie odbierają, ona unosić cię będzie z sobą na tej powierzchni, abyś nie utonął, nie zwątpił. Ona będzie dla ciebie pośrednikiem owego światowego oddéchu, bez którego najtrwalsze siły w końcu stygnąć i zużyć się muszą!... Uśmiech przy pracy jest koniecznie potrzebny— a na twojej twarzy tak rzadko pojawia się taki uśmiech!... A przecież taki uśmiech jest wróżbą, że praca nasza przyniesie owoc, bo w ten owoc wierzymy!... Mania, wywołując ten uśmiech na twarz twoją, uzupełni cię!...

Słowa te miały pozór wielkiej prawdy. Tadeusz myślał nad niemi całą noc. Rozbierał jedno słowo po drugiem i uznał, że każde z nich było prawdziwe. Uznał, że był dotąd niezupełną istotą na świecie, że przy Mani inaczejby mu słońce świeciło, inaczej księżyc przez okno zaglądał, a może też i ludzie byliby lepsi i świat cały piękniejszy!... I gdy sobie tak dalej w głowie rozbierał, przekonał się jak najdowodniej, że Mania na to jest od Boga stworzoną z wszelkiemi swemi przymiotami, aby go uzupełnić, aby razem z nim utworzyć tę harmonię duszy i serca, która dla szczęśliwego życia koniecznie jest potrzebną...

I stało się, że ten żywy paragraf ustawy, ważnej dla całej ludzkości, wszedł między paragrafy pandektów i tak się z niemi pomieszał, że młody mecenas nie mógł go już ztamtąd w żaden sposób wyrugować.

Nazajutrz wstał rano, ubrał się starannie i wyszedł do pokoju Karola. Po drugiem śniadaniu kazał Karol zaprządz do powozu i obaj z uroczystemi twarzami odjechali w kierunku do stawu.

Babcia, mamcia i ciocia usłyszały wreszcie, czego się dawno spodziewały. Namysł ich był krótki. Wioska była mała, dzieci czworo. Muszka namyślała się także tylko chwiikę. Potem rozśmiała się czarująco i szczęśliwemu Tadeuszowi podała drobną rączkę — na zawsze!

Gdyby naprzykład o tem zdarzeniu dowiedział się zbliska polujący na temata autor, opisałby je z całą dokładnością, a nawet z temi wszystkiemi epizodami, ciekawość zaostrzającemi, które tutaj opuściliśmy. A kończąc powieść, która jak każe reguła, tylko do stopni ołtarza narzeczonych prowadzi, mógłby autor z wszelkiem prawem powiedzieć w epilogu: że Tadeusz i Mania byli nadzwyczaj szczęśliwi. Byli oni jakby stworzeni dla wzajemnego uzupełnienia się. Tadeusz był to umysł głęboki, myślący — Mania szczebiotała jak sroczka i trzymała go zawsze na powierzchni życia, gdy się zabierał dać nurka. Była dla niego słońcem, do którego z najciemniejszych głębin pną się wodne rośliny...

Tadeusz był gorliwym obywatelem swego społeczeństwa, a gdy zajmując się jego sprawami często na siłach zdawał się upadać, anielski uśmiech Muszki przywoływał go do życia powszedniego i prowadził między ludzi, gdzie nowych sił nabierał do pracy... Tym sposobem Tadeusz, który zakrawał na sensata i odludka, wszedł na pasku tego aniołka znowu w świat rzeczywisty i uniknął tej fałszywej drogi, na której tyle serc szlachetnych wypaliło się ogniem niepożytecznym i najsmutniej zmarniało!... I koniec!

Powieść skończona, piękne czytelniczki cieszą się z szczęścia Muszki i Tadeusza, w które wierzą jak w słowa ewangelii. Autor bowiem w ostatnim rozdziale jak najwyraźniej to powiedział, a nawet dał na to swoje słowo honoru. Ale jesteśmy niewierni i dane nam popiersie bohaterki przydłużamy kilkoma liniami w całą postać.

I zaraz przy pierwszych liniach okazuje się, że rysunek bohaterki był fałszywym — że sama bohaterka wraz z epilogiem jest fałszem psychologicznym!

Gdyby autor po kilku latach Tadeusza obaczył, przestraszyłby się postacią swego bohatera. Zamiast obiecanego

mu w epilogu szczęścia, ujrzałby wielką troskę na jego czole pomarszczonem. Oko jego przygasło, ramiona pochyliły się. Podłysiał nawet znacznie i postarzał się o lat dwadzieścia!

* * *

W gustownie urządzonym salonie przechadza się młoda kobiéta. Na stolikach leżą porozrzucane książki, pisma i ryciny i różne narzędzia do robótek kobiecych. Wszystko to jednak leży nietknięte. W salonie panuje głucha cisza, a nawet z bocznych drzwi, nieco odchylonych, nie słychać żadnego szmeru.

Młoda, piękna kobiéta chodzi szybko po francuzkich dywanach. Dręczy ją jakiś niepokój. Co kilka kroków zbliża się do okna i patrzy na ulicę. Odwraca się od okna z westchnieniem i nadsłuchuje przy drzwiach przyległego pokoju. Jej piękne oczy zachodzą łzami.

Odzywa się dzwonek w przedpokoju. Młoda kobiéta rozjaśnia szybko twarz i z radością biegnie ku drzwiom.

— I znowu tak samotnie? — ozwała się w progu dama niskiego wzrostu o twarzy wybielonej.

— Jakżeż pani chciałaś? Czyż ja mogę gdzie pójść i zabawić się? — odparła smutno zapytana przybierając pozę Nioby.

— Podziwiam pani cierpliwość — prawiła dalej przyjaciółka — przecież kobiéta z takim sprytem jak pani może wiele, bardzo wiele zrobić po za plecyma męża, a mąż byłby tego przekonania, że od niego wyszła inicyatywa!

— Mój mąż!... — z bolesnym uśmiechem zawołała młoda mężatka — mój mąż... jest bardzo zacny i poczciwy... wszyscy go ubóstwiają i radzi mieć w swojem towarzystwie... ale... mój mąż powiada, że najszczęśliwszym jest u siebie w domu, samowtór w mojem towarzystwie!... Nie jestże to rozpacz?

— Ach rozpacz, rozpacz prawdziwa! Egoista! Sama wystarczasz pani, to prawda, ale nie pyta, czy do szczęścia żony nic więcej nie trzeba nad widok szlafroka mężowskiego w tureckie pasy!

— Przeciwnie dziwi się, że ja świata pragnę.

— Okrutnik! Dobrze mówi *Georges Sand.*



Muszka biegnie naprzód żywym krokiem z nauczycielem śpiewu... (str. 34.)

Młoda mężatka poczuła łzy w oczach, z któremi tak jej ślicznie było do twarzy, jak najkapryśniejszej jedynaczce. Przyjaciółka przysunęła się bliżej i zaczęła cichym głosem pocieszać cierpiącą ofiarę.

Długo szeptały obie kobiéty, a twarz młodszej znowu rozweseliła się. Zdaje się, że na okrutnego męża uknuły jakiś spisek. Po całogodzinnej rozmowie pożegnały się, szepcąc jeszcze za progiem jakieś słówka tajemnicze.

Za chwilę ozwał się dzwonek. Ozwał się poważnie i sympatycznie — to zapewnie mąż.

— To ty Tadzio? — rzekła do wchodzącego żona z jakąś chmurką na czole, która mu groziła wydaniem bitwy.

— Dotąd jeszcze nie poznajesz mnie po dzwonieniu, kochano Manio — odparł mecenas z szczerem uśmiechem na twarzy.

— Nie zastanawiałam się jeszcze nad tem! — odparła z udaną obojętnością młoda kobiéta.

— Ty wiecznie brzęcząca Muszko! Ciekawy jestem, o czem byś przez cały dzień mówiła, gdybyś tak słodko brzęczyć nie umiała! Wprawdzie złośliwi uczeni nazywają

takie wiecznie brzeczące stworzeńko osą, ale ty dla mnie jesteś prześliczną muszką, która prócz tego że brzęczy, miód znosi dla biédnych śmiertelnych!

Rzekłszy to chciał młodą żonę ucałować, ale ta wywinęła się i stanęła w postawie wyzywającej. Rzekła do niego z chmurą na czole:

— Toż w nagrodę za ten miód słodki, chcesz tę biédną muszkę w ulu zamknąć i wylot jej na pola kwieciste zabić!

— Uchowaj Boże — odparł z uśmiechem szczęścia mecenas — wszak wiém, że gdybyśmy pszczółki czasem na kwiaty polne nie puszczali, nie mielibyśmy w ulu miodu!

Mecenas wziął żonę za rękę, przycisnął ją do ust i odparł:

— Widzisz Manio, wracam z trybunału. Trzy godziny broniłem sprawy biédnej wdowy przeciw niesprawiedliwym i podstępnym uroszczeniom pewnego łotra. I wyobraź sobie — jestem zwycięzcą! A to więcej mnie cieszy, niżeli owe dziesięć tysięcy, które mi ten łotr dawał!

— Dziesięć tysięcy! — zawołała kobiéta z roziskrzonemi oczyma—dziesięć tysięcy! Najmniej dziesięć sukni balowych z wszelkiemi wymysłami! Mój Boże, zrobiłabym furore w całej stolicy!



Warszawa dnia 8. Kwietnia 1861. (str. 35.)

— Ty zaś robisz przeciwnie!

— Jak to?

— Chcesz mnie ciągle w ulu trzymać!

— Przeciwnie.... czy chcesz gdzie wylecieć Muszko?

— Jutro wieczór tańcujący u państwa B***

— Dobrze, pojedziemy!

Snać nie była na te słowa przygotowaną młoda kobiéta, bo długi czas patrzała na męża z zadziwieniem. Żal jej może było nagromadzonej w arsenale broni, którą według umowy przyjaciółki dzisiaj użyć miała. Ścisnęła brwi i rzekła:

— Cóż cię dzisiaj tak wielkim uczyniło?

— Ale nie widziałabyś twego męża tak szczęśliwego, jakim jest dzisiaj, całując tę drobną rączkę...

Mecenas przycisnął drobną rączkę do ust, a młoda kobiéta patrząc na niego z politowaniem, wzruszyła ramionami!...

Wieczór u państwa B*** był okazały. Damy były dekoltowane niżej ramion, mężczyźni mieli kamizelki spięte tylko na jeden guzik i lornetki na nosach. Było wiele paplaniny o niczem językiem nieswojskim, a jeszcze więcej polek i walców.

Mecenas wałęsał się chwilę po salonie z kąta w kąt potrącany przez młodych bohatérów, którym cały rozum w nogi poszedł. Wreszcie obaczył łysą głowę pana Jędrzeja, a złączywszy się z nim, wyszedł do pobocznego pokoju na pogadankę.

Tymczasem pani mecenasowa przelatywała z objęcia w objęcie. W krótkich tych lecz roskosznych epizodach życia swego słyszała prześliczne rzeczy:

— Pani wyglądasz jak z eteru i bieli kwiatów! — szepnął jej adonis o łokciowym angielskim kołnierzyku.

— Po raz pierwszy widzę tańczącą Gracyę! — zauważał przy kontradansie farbowany brunet.

— Pani masz oczy jak asbest z blaskiem fosforu! — zawołał w zachwyceniu uczeń chemii.

— Przeznaczeniem tej drobnej rączki może być tylko — rozsuwać po niebie obłoczki majowe! — westchnął poeta *in spe*.

— Tak drobnej nóżki nie miała Kleopatra! — krzyknął jej do ucha uczony rotmistrz od huzarów.

— Postać pani podobna do chwiejącej się w wietrze trzciny, o której mówią *toujours agitée et jamais abattue!* Czy i pani podzielasz te przymioty wiotkiej rośliny... czyż tyle westchnień z piersi mężczyzn...

Na drugi dzień wieczorem siedziała pani mecenasowa przy herbacie z mężem. Mąż wyglądał bladziej niżeli zwykle. Przyszedł rano do domu i musiał cały dzień pracować.

Muszka siedziała na pół leżąca w fotelu i rozmarzonem okiem patrzała przed siebie. Zapewnie była w tej chwili wspomnieniami na wczorajszym balu. Przypomniała sobie ona wszystkie słodkie słówka, ów należący się jej haracz, jakiego jej mąż nigdy nie wypłaca.

Spojrzała z całą siłą na męża swemi oczyma z asbestu, węgla i fosforu. Mąż przysunął się do niej, ucałował jej rękę, a twarz jego blada ożywiła się nawet. O jej oczach jednak nic nie mówił.

Muszka westchnęła. Po chwili położyła obie rączki na stole i zaczęła się niemi tak misternie bawić, że każdy jej paluszek przedłużał się i kurczył jakby pazurki u kotka. Mecenas tego nie widział i o jej pięknych paluszkach nic nie mówił.

Muszka westchnęła. Po niejakim czasie wysunęła z pod długiej sukni drobniutką nóżkę w pantofelku aksamitnym. Mecenas patrzał na tę nóżkę i prawdopodobnie nie umiał czytać tych hieroglifów, jakie ta nóżka na francuskim dywanie wypisywała!... Poeta *in spe* byłby może to wyczytał i kwiecisto opisał...

Muszka znowu westchnęła. Mąż mówił wiele bardzo wiele rzeczy, ale nie mówił tak, jak to na wczorajszym wieczorze mówili ci ludzie o lornetkach na nosie!...

* * *

Lękam się prowadzić dalej ten obrazek szczęścia domowego, o którem autor w epilogu swej powieści tyle ładnych rzeczy popisał. Był on zanadto uczonym chemikiem. Zdawało mu się, że jak wodę zimną z gorącą pomiesza, to stanie się właśnie woda umiarkowana, jakiej mu potrzeba było. Ale zapomniał, że ludzie to nie woda, a w życiu ludzkiem nie robi się takich mikstur, jakie się robią w aptéce.

Aniołkowata, z niewyraźnemi konturami postać takiej bohatérki, jaką jest nasza Muszka, przecudownie wyda się na zielonym gazonie, gdy biega z obręczą w ręku, w krótkiej, podkasanej sukience... Gdy ją zaś bez żadnej dalszej nauki, bez żadnych głębszych pojęć i wyobrażeń o życiu wprost na poważną arenę życia wprowadzimy i tam samej sobie oddamy, to w komnatach ogniska domowego stanie się to, co się zazwyczaj dzieje, gdy takie z obręczą igrające jeszcze dziécię wpuścimy samopas na posadzkę domu naszego. Igrając jakby na gazonie potłucze nam najdroższe skarby, jakie długą pracą staraliśmy się nabyć, aby niemi przybytek naszego szczęścia ozdobić!... To co było dla nas najdroższego, dla niego jest tylko cackiem, nic więcej!...

A przecież są autorowie, którzy taką, skrzydełkami aniołka wiecznie podlatującą postać, wprowadzają jako bohatérki. Zdaje im się, że ideał tylko w ten sposób po ziemi chodzić może. — A pięknym czytelniczkom zdaje się także, że aby być podobnym do ideału, trzeba tak samo wyglądać. Podlatują więc co chwila skrzydełkami, udają, że uganiają za toczącą się przed niemi obręczą, chociaż ta obręcz już dawno uschła i połamała się, i łudzą patrzących najmniej spodziewanemi obrotami, jakiemi zazwyczaj celują dzieci...

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do Tadeusza i Muszki.

Czy widziałeś ich kiedy szanowny autorze, na przechadzce w saskim ogrodzie?... Tadeusz nie lubi saskiego ogrodu, a przecież tam iść musi!... Idzie o dwa kroki w tyle, z głową ku ziemi spuszczoną. Muszka biegnie naprzód żywym krokiem z nauczycielem śpiewu, którego głowa wygląda, jakby ją dopiero co wziął z okna wystawy fryzierskiej.

— Pani zaniedbujesz swój głosik, a przecież jest w nim tyle słodyczy... a, czy nie weźmiesz pani udziału w koncercie?...

— Ach panie! Mój mąż jest taki nudziarz! Onby tylko siedział w domu cały rok!... Czy przyjdziesz pan jutro do nas?

— Może mąż pani będzie jutro zatrudniony — zauważył maestro.

— A cóż mi do tego, mój panie? Każde z nas ma swoje prawa — przyjdź pan!

Nazajutrz wieczorem brał Tadeusz z wielkiem zadowoleniem ulubiony swój szlafrok i rzekł z uśmiechem do żony:

— Oprowadzałem cię dzień cały, moja duszko, po różnych wizytach — za to wieczór do mnie należy. Mam dla biédnych sierot, pokrzywdzonych przez opiekuna, wypracować replikę, bo termin już zapada.

— I owszem bardzo się z tego cieszę — odparła figlarnie Muszka—bo i ja chcę być w spokoju, aby coś w domu uporządkować!

W przedpokoju ozwał się dzwonek. Tadeusz spojrzał ze smutkiem na swój szlafrok.

— Cóż tam znowu? — ozwała się z udanym kaprysikiem Muszka — każę przeprosić... Maestro... może się rozgniewa... wypada prosić...

Tadeusz pożegnał się ze swoim szlafrokiem i repliką a wraz z maestrem wszedł także i pachnący paczulą tancmistrz jakiś, a biédny mecenas musiał z tymi ludźmi sześć godzin przesiedzieć i przegadać, pomimo że o jednym z nich bardzo niegrzecznie wyraża się przysłowie niemieckie, mówiąc: „*dumm wie ein Tanzmeister*“,

Muszka była przez cały wieczór rozpromieniona!

Gdyby autor swego bohatera w cztery oczy o jego szczęście zapytał — odpowiedziałby mu tenże:

— Wielkie głupstwo zrobiłeś mój bracie, żeś mi kazał ożenić się z Muszką, a ja jeszcze większe, żem twojej niemądrej rady usłuchał. Ona mnie wcale nie pojmuje. Gdy ja siedzę nad pożyteczną dla ogółu pracą, ona się nudzi i wyrzeka, żem jej świat zawiązał!... Ona nie zna życia z poważnej strony, o obowiązkach nie mów do niej!... Uśmiech i świeże, nowe wrażenia, to cel jej życia!... Kołysać się po wierzchu fali, z piosnką na ustach, pragnąć i mieć zaraz, co się pragnie... i nigdy się nie ukłuć, nigdy nie zadrasnąć, nigdy nie westchnąć, nie płakać — to jej hasło!... Nie ma najmniejszego wyobrażenia o tem, że życie to trud, praca i poświęcenie się... że życie, to tylko czas świętych obowiązków; a ty kochany autorze, nigdy jej o tem przed ślubem nie wspomniałeś!... Za to dzisiaj pokutuję, a cały świat, który twój epizod czytał, myśli żem najszczęśliwszy z ludzi!,.. A to mnie więcej dręczy, niżeli moja żona, która trzy razy na dzień kłóci się ze mną, że nie ma u mnie tego szczęścia, jakiego wymaga jej usposobienie...

Ona nie była nigdy stworzoną na żonę poważniejszego człowieka. Płytki jej umysł byłby się lepiej stosował do wesołego humoru jakiego hulaki, który po kilku miesiącach domowego szczęścia byłby jej zostawił wszelką wolność zabaw i rozrywek!...

Nie radzę autorowi zejść się jeszcze raz z swoim bohatérem... a co gorsza, z bohatérką!...

WARSZAWA
DNIA 8. KWIETNIA 1861.

(Zmniejszona kopia premii do „Strzechy“.)

Niéma pewnie żadnego serca polskiego, w którémby data położona na tej rycinie, nie obudzała obok szlachetnego uniesienia zarazem uczucia głębokiej boleści; jestto bowiem jeden z najwznioślejszych ale oraz najsmutniejszych epizodów męczeńskiej kroniki narodu. Natchniony wielkością wypadku artysta pochwycił na płótno najtragiczniejszy moment jego, i wlał w swój obraz tyle prawdy i życia, że dość jednego spojrzenia, ażeby pojąć całe znaczenie dramatu, ażeby zrozumieć tę szczytną walkę narodu z dziczą, ducha z przemocą źwierzęcą, europejskiej cywilizacyi z azyatyckiem barbarzyństwem! Zaprawdę — haniebniejszego faktu niéma do wykazania nowożytna historya moskiewskiego caratu, a dla odświeżenia go w pamięci narodu i całego świata przytaczamy tu dosłownie opisanie jego, jakie w swoim czasie otrzymały dzienniki lwowskie od naocznego świadka z Warszawy:

„*Warszawa 12. kwietnia*.... W poniedziałek 8. kwietnia nikt nie myślał robić manifestacyi, a publiczność wcale do niej przygotowaną nie była. O tem mogę was zaręczyć z wszelką pewnością. O trzeciej po południu odbyć się miało wyprowadzenie z kościoła Reformatów zmarłego po powrocie z Syberyi więźnia stanu, Xawerego Stobnickiego, człowieka, który wiele cierpiał dla kraju, a był powszechnie szanowany. Na pogrzeb zebrało się kilkanaście tysięcy ludu. Trumnę, ubraną w wstęgę trójkolorową, nieśli jego koledzy, młodzież i wszystkich stanów i zatrudnień ludzie. Młodzież wystąpiła w narodowych ubiorach, duchowieństwo licznie się zebrało. Pogrzeb był wspaniały, bo lud czcił w zmarłym ducha, który zniósł wiele prześladowań a nie upadł. Izraelici pospieszyli z chrześcianami na cmentarz. Przed rogatkami stał oddział piechoty, obok którego orszak spokojnie przeszedł. W tym samym czasie na cmentarz żydowski zebrało się również kilkanaście tysięcy wyznawców Mojżeszowych dla uczczenia pamięci przed kilku laty zmarłego, byłego dyrektora szkoły Rabinów w Warszawie Eisenbauma, powszechnie i przez innych wyznawców sza-

nowanego. Eisenbaum słynie jako prorok, pracował nad zjednoczeniem i braterstwem dzieci jednej ziemi różnych wyznań, i przepowiedział żydom połączenie się z Polakami, a które to połączenie krwią zostanie zapieczętowane. Idąc na swój cmentarz żydzi śpiewali „Boże coś Polskę“, z nimi złączył się orszak, który był na pogrzebie Stobnickiego, a po nabożeństwie, mowach, w uniesieniu braterstwa na grobach, uściskiem miłości bratniej i wspólnemi śpiewami zakończyli tę wzniosłą uroczystość, w której łzy radości i bolu zmieszane padły na ziemię męczeńską.

Na krakowskiem przedmieściu nie było żadnego zbiegowiska; ludzie jak zwyczajnie roili się tam licznie, przechodząc każdy za swoim interesem. Wojsko było w zamku i przed zamkiem, więc ludzie przystawali i przypatrywali się żołnierzom. Od nowego zajazdu stało kilkudziesięciu żebraków, którzy sprowadzeni byli tam umyślnie puszczoną mylną wieścią, jakoby rząd zabrał pieniądze na rannych i poległych przez kraj złożone, i że te pieniądze biednym sam książę Gorczakow rozdawać będzie. Powtarzam żadnego zbiegowiska, żadnego tłumu nie było, i na przechodzących i bezbronnych napadło wojsko. Rząd szukał zaczepki, nie dano mu jej, wysłał więc wojsko, żeby na idącą ulicą publiczność napaść i mordami położyć koniec rządowi umiarkowanemu i spokojnemu całej Polski. O 6. godzinie pocztylion jadący do Lublina zatrąbił: „Jeszcze Polska nie zginęła“, lud trąbienie to okrzykami powitał. Wnet potem jenerał Chrulew z wojskiem z zamku wystąpił i kazał broń nabić; potem pokazała się druga kolumna, gdy pierwsza zbliżyła się do ludu. Adjutant zaś ks. Mayendorf pokazał się także na placu, oddał ostrzeżenie adjunktowi policyi, a ten z dwoma oficerami i doboszem odczytał ludowi rozkaz rozejścia się. Lud go nie zrozumiał, a bębnienie, jak to jest w zwyczaju odwiecznym u nas, wziął za znak i wezwanie do gromadzenia się. Tłum powiększony bębnieniem nie był jeszcze wielki, jedna grupa złożona może z kilkudziesięciu osób stała u kolumny Zygmunta III., zatrzymana ciekawością, druga żebraków, trzecia nieliczna także u Bernardynów. Żandarmi przypuścili szarżę do żebraków i rąbiąc pałaszami spędzili ich na ulicę Mariacką; przy rogu tej ulicy zastrzelono Kernera drózkaża; drugą szarżę przypuścili na grupę ludzi przed Bernardynami, a trzecią na ludzi u kolumny Zygmunta stojących. Te sceny zgromadziły jeszcze większą liczbę ludzi, którzy już nic o czytaniu nie wiedzieli; wtedy puszczono rakiety sygnałowe, działa cytadeli zagrały i natychmiast nowe wojska przybyły. Był to moment groźny, z oddziału piechoty (która rozdzielona na dwie kolumny stała po obu stronach pomnika Zygmunta, za nią żandarmi i kozacy), oficer kazał rozejść się ludowi a wojsku strzelać. Ktoś z tłumu rzekł do oficera: „Wstrzymaj się pan ze strzałami, wojskowego i urzędnika lud nie usłucha, my ludowi poradzimy, żeby się rozszedł, ale dajcie czas rozejścia się.“ Oficer wyzywal po moskiewsku mówiącego i krzyknął ognia. Członkowie rozwiązanej delegacyi i inni ludzie szanowani, chodzili pomiędzy publicznością i namawiali do rozejścia się, czego publiczność zewsząd zaatakowana nie mogła już wykonać. Dano, jakem mówił, ognia do żebraków, strzelano potem do ogrodu Bernardynów, gdzie księża przechadzali się, szczęściem żadnego z nich nie zabito; najsilniejszy jednak ogień szedł na publiczność stojącą na trotoarze pomiędzy Senatorską ulicą i Krakowskiem Przedmieściem, i na to Przedmieście, gdzie od razu padło kilkanaście osób. Odgłos strzałów sprowadził na plac wracającą publiczność z pogrzebu; pomimo niebezpieczeństwa plac zapełniał się, bo lud nasz na śmierć idzie jak do tańca; wyrobiła się w nim dziwna pogarda śmierci; o bo to rzeczywiście lepiej jest być zabitym, jak cierpieć w takiej jak nasza niewoli. Strzelało wojsko i przed Bernardynów i po całej tej części Krakowskiego Przedmieścia do ludzi o kilka kroków oddalonych, strzelano w Senatorską ulicę aż na róg Miodowej, na Podwale w Piwną, gdzie staruszka idącego o kiju uderzono kolbą a nieżywego w rynsztoku jeszcze bito, dalej w ś. Jańską, gdzie studenci naraziwszy piersi swoje na strzały, wzięli się za ręce i utworzyli łańcuch, nie puszczając tłumnie ze starego miasta dążącego ludu na plac śmierci na nieochybną zgubę. Na nowy zajazd dawano ognia od Krakowskiego i z terasu zamkowego, z zamku zaś puszczono race na lud, który nie bronił się wcale, bo nie miał ani kijów, ani szczap, ani kamieni, lud bronił się tylko gołemi rękami i lekceważeniem śmierci. W miejscu walki nie było kamieni, były one dalej przed nową resursą, i niemi to rzucano. Książę Gorczakow nie chciał przyjąć delegacyi i żadnej deputacyi, udano się więc do Platonowa, który rzekł: „iż rząd powinien był dawno zrobić to, co w tej chwili wykonywa;“ udali się i do Wielopolskiego, którego karetę przewiózł przez tłum kochany powszechnie doktor Chałubiński dla tego, żeby margrabia udał się z przedstawieniem do księcia. Obecność doktora sprawiła, iż nie zatrzymano karety, tylko kamieniami na nią ciśniono. Wielopolski dotarł do zamku, ale się nikomu z publiczności więcej nie pokazał, a wojsko tymczasem strzelało, rębało pałaszami, kłuło pikami, obdzierali trupów, których jak i rannych ciągnęli żołnierze za nogi do zamku. Ranionym mózgi pryskały, bo głowy tłukły się o bruk, a za nogi wlekli ich siedzący kozacy na koniach. Żadnej przesady nie ma w moim opisie, i powtarzam wam, że całe miasto zaświadczy wam o okropnościach scen, których opisać nie mam mocy.

Oto jedna ze scen walki. Zakonnik z krzyżem na czele wielu ludzi spiewających suplikacye, wystąpił od Krakowskiego Przedmieścia, krzyżem broniąc nieszczęśliwego ludu tak bezkarnie mordowanego przez pijane wojsko, bo tego dnia wszyscy, nawet oficerowie dla większego okrucieństwa byli pijani. Uderzyli oni bagnetami na tę procesyę, kapucyna obalili kolbami i zranili, — od upadłego wziął w ręce

krzyż młody mężczyzna, którego zaraz skłuli kozacy i zakrwawionego pociągnęli do zamku. Ranny zdążył krzyż powierzyć izraelicie, który trzymał go wysoko i dopiero po śmierci z rąk go wypuścił. Przy cukierni Belego na rogu Senatorskiej, gromada ludzi w procesyi z księdzem, klękła śród boju na bruku i zaczęła spiewać: „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami.“ Natarli na klęczących kozacy i żandarmi, wcisnęli się pomiędzy nich tratując końmi, a potem piechota dała do nich rotowego ognia i bagnetami zaatakowała. Nikt się nie ruszył; „módlmy się i spiewajmy“ wołano, i spiew o zmiłowanie Boże brzmiał śród jęków, strzałów, krzyku, wrzawy, chlustania krwi i konania męczonych. Kobiétę na klęczkach wołającą o litość zabito bez litości, a trupa porwano do zamku. Ztąd udali się kozacy na ulicę Podwal i zaczęli strzelać do ludzi tam będących, — zapędzili się za uciekającymi; ludność parta przez nich, zawróciła znowu do placu widząc, że ztamtąd nie strzelają już do nich. Wtem piechota wypaliła do nich z tej strony, i wówczas strzał własnej piechoty zabił owych dwóch kozaków, o których pisze Gorczakow, jakoby przez lud zabitych. Strzelano od godziny $6\frac{1}{2}$ do $8\frac{1}{2}$ wieczorem. Ranionych pędzono kolbami do zamku, trupów tam ściągano; sala gdzie były trupy, miała podłogę krwią jak wodą zlaną; stosy ciał leżały wszędzie, kobiéty i dzieci krzyczały i prosiły się, żeby ich puszczono. Dotąd jeszcze nie wiemy, gdzie są ci ranieni i te biédne kobiéty. Lud kilkanaście trupów wniósł do cukierni Belego, do resursy, do hotelu europejskiego, do domu Reslera, zkąd gwałtem wojsko ich potem zabierało. Dopiero o trupów rozpoczęła się bójka, i po długiej walce pozwalano sobie trupów wydzierać. Przed kolumną Zygmunta kilku naszych wkładało do dorożki trupów; młoda piękna kobiéta pomagała im dźwigać, wtem kula przeszyła jej piersi koło łopatki; raniona, okrwawiona biegnie ku wrogom, lecz padła na bruk, zerwała się, pobiegła kilka kroków wołając: „dobijcie mnie, dobijcie“, ale siły ją opuściły i drugi raz padła. Lud uniósł ją. Znane mi nazwisko tej pani, lecz ponieważ dotąd ranionych zabierają z domów do cytadeli, a nie wiem czy umarła, więc potem powiem jej nazwisko. Bernardyni spowiadali na placu konających, dziesięciu z wyspowiadanych przed Bernardynami zostało dobitych kolbami. Inni księża świeccy i zakonni całą noc chodzili i nieśli pomoc duchowną ranionym i konającym. Szczegółów wam wiele nie mogę podać, wspomnę jeszcze, że rodzinę nieznanego mi nazwiska idącą ulicą, a złożoną z męża, żony i dziecka, zasiekli kozacy i zabrali z sobą do zamku. Jednego akademika poćwiertowali jak na mięso; na akademikach i studentach szczególniej się mszczono. Trupów i żywych obdzierano: kobiét i dzieci wiele zabito. Poległych i ranionych, z których wielu umiera, rachują do 500, brakuje dotąd osób 840, o których rodziny nic się dowiedzieć nie mogą.



Pomnik Juliusza Słowackiego. (str. 38.)

Dziwnemby się nam wydawało zmniejszenie do 10 przez ks. Gorczakowa liczby zabitych, gdybyśmy już dawno nie wiedzieli o zwyczaju rosyjskim pisania biuletynów, gdzie bez namysłu ze stu zabitych robią jednego, jeżeli tego okaże się potrzeba. Prócz trupów zaciągniętych w tak okropny sposób do zamku, wożono kilka razy sześciu furgonami ciała do cytadeli.

Jak nazwać taką walkę, w której mordują bezbronne kobiéty, dzieci, mężczyzn — walkę, w której krzyż, suplikacye jedyną obroną? — rzezią. Tak dzień 8. kwietnia przypomniał rzeź Pragi: tam Moskale wyrznęli 20,000, a tu 500 ludzi, tylko liczba różni dwa te dnie krwawe i

okropne. Lecz tam była przynajmniej rzeź po bitwie i szturmie, tu rzeź bezbronnych bez żadnego powodu.

Po krwawej ofierze place wypróżniły się, wojsko rozpaliło ogniska, zająwszy różne pozycye w mieście, piło wódkę i spiewało na tryumf pieśń o „zbuntowanej Warszawie.“ Patrole gęsto snuły się przez całą noc i napadały na pojedyńczo idących do domów; bito ich kolbami, obdzierano i odsyłano do cytadeli. W nocy jeszcze dużo było w podobny sposób aresztowanych, ranionych lub zabitych. Tej nocy policya sprowadziła mularzy do zabielenia śladów krwi na domach. Te świeże malowania są okropnym dowodem obfitości wylanej krwi, a dużo bardzo dużo jest takich znaków. Z bruku i chodników spłukiwano krew i wycierano ją piaskiem i popiołem — jeszcze jednak dzisiaj w kilku miejscach strugi i plamy krwi są widoczne....“

Oto — co przedstawia nasza premia, piękna rycina chromo-litograficzna, której zmniejszoną kopię podajemy tu w niniejszym drzeworycie. Kto ceni i szanuje pamiątki narodowe, temu — spodziewamy się — miło będzie ozdobić rodzinny swój zakątek taką ryciną; a naszem staraniem będzie przynosić z każdym rocznikiem „STRZECHY,“ takie tylko premie, które miałyby związek z dziejami Polski, i z którychby czytelnicy nasi mogli z czasem ułożyć sobie prawdziwe a l b u m n a r o d o w e.

Wydawca.

Pomnik Juljusza Słowackiego.

Na cmentarzu Mont-Martr w Paryżu.

O życiu i pismach tego wielkiego poety naszego pisano już tyle w ostatnich czasach, a świeżo dopiero przysłużył się literaturze tak znakomitą w tym względzie pracą Dr. Małecki *), że byłoby zbytecznem pisać jeszcze cokolwiek o tem, zwłaszcza nie mając do przytoczenia nic takiego, czego nie powiedzieliby już poprzednicy nasi. Nawet ostatnie chwile i sam skon wieszcza opisał wspomniony biograf tak szczegółowo i wiernie, że niebrak ani jednego rysu w portrecie tej jenialnej a niestety zbyt wcześnie zgasłej dla ojczyzny osobistości.

Mniéj znanym wszakże będzie czytelnikom polskim ten szczegół— wcale niechlubny dla narodu, że tak znakomity mąż i pisarz, jak Słowacki, przez długi czas nie miał nawet żadnego pomnika na grobie swoim, i że dopiero w kilka lat po zgonie jego, wzniesiony został staraniem emigracyi polskiej na miejscu wiecznego spoczynku poety, na cmentarzu Monte-Martr ten pomnik, który przedstawia drzeworyt nasz, odrobiony z ryciny załączonej do dzieła p. Reitzenheima, wydanego w języku francuskim pod tytułem: „*Les Monuments Polonais a Paris.*“

W pośrodku tego pomnika na zwitku papieru znajduje się napis: „Boga Rodzico — Anhelli,“ zaś u podnóża na kamieniu wyryte są te słowa:

JULIUSZ SŁOWACKI,
URODZONY DNIA 23. SIERPNIA 1809,
UMARŁ DNIA 3. KWIETNIA 1849.

Czyjego dłuta jest ten pomnik, nie powiada p. Reitzenheim.

KRONIKA.

Z kraju.

(Ruch umysłowy we Lwowie) ożywił się w ostatnich czasach skutkiem większych swobód politycznych i prasowych tak znacznie zarówno we względzie literackim jak i artystycznym, że możemy dziś snadnie iść o lepsze ze stolicami innych ziem polskich. Jakiemi dziełami wzbogacił literaturę Lwów w roku bieżącym, dowie się czytelnik z zapisków bibliograficznych, które podajemy na końcu zeszytu, i które stanowić będą stałą rubrykę naszego pisma; tu zaś skreślimy tylko w krótkości obraz peryodycznych objawów prasowych.

Co do tych nie zapamiętano podobno nigdy jeszcze, by w mieście naszem wychodziło równocześnie tyle dzienników politycznych, literackich i naukowych, jak w tej chwili. Pominąwszy dawniejsze już dzienniki polityczne, jak *Gazeta Narodowa* i *Dziennik Lwowski* w języku polskim, a *Ruś* i *Słowo* w języku ruskim, tudzież wychodzące już od dawna pisma literackie, jako to: *Dziennik Literacki — Czasopismo Biblioteki Ossolińskich* i pisemko ludowe *Dzwonek*, powstały w ostatnich czasach następujące pisma czasowe: a) P o l i t y c z n e: *Tygodnik niedzielny*, pismo ludowe, jako dodatek do *Gazety Narodowej*; *Gmina*, pismo poświęcone sprawom gminnym, wydawane przez K. Wilda, i *Pismo do gromady* załączane do *Słowa*. b) Lit e r a c k i e: *Opiekun domowy*, tygodnik ilustr. dla dzieci pod redakcją H. Stupnickiego; *Lwowski Tygodnik ilustrowany* (w miejsce wydawanego dawniej ,,Przyjaciela domowego“) jako pismo dodatkowe do ,,Dziennika Lwowskiego“; *Nowiny* pismo tygodniowe z rycinami mód, wydawnictwo

*) Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki, przez Ant. Małeckiego, tom. dwa. Lwów 1867.

K. Pillera, i nasze czterotygodniowe pismo ilustrowane „Strzecha“; nakoniec c) naukowe: *Biblioteka Stenograficzna* A. Olewińskiego: *Rolnik*, organ galic. Towarzystwa gospodarskiego, a w ostatnich czasach *Szkoła*, pismo pedagogiczne, wydawane przez grono tutejszych nauczycieli gimnazyalnych i ludzi fachowych.

Natomiast przestało wychodzić w tych czasach jedno tylko — aczkolwiek bardzo cenne zbiorowe czasopismo polsko-ruskie: *Sioło*.

Oprócz tych objawów prasowych przyczyniają się też bardzo znacznie do ożywienia ruchu literacko-naukowego u nas odbywające się teraz odczyty popularne, a mianowicie: a) niedzielne w różnych gałęziach wiedzy ludzkiej, w których biorą udział najznakomitsze osobistości naukowe stolicy naszej, i b) historyczne zasłużonego historyka naszego p. H. Schmitta dwa razy w tygodniu, obejmujące rozbiorową epokę dziejów naszych.

Niemniejszy ruch objawia się także w naszym świecie artystycznym, a mianowicie zarówno co do działu sztuk pięknych jak i pod względem sztuki dramatycznej.

Co do pierwszego zasługuje przedewszystkiem na wzmiankę zawiązanie Towarzystwa sztuk pięknych, które bez wątpienia wywrze bardzo zbawienny wpływ nie tylko na rozwój sztuki, ale oraz na wykształcenie gustu estetycznego pomiędzy publicznością urządzaniem corocznych wystaw obrazów, z których pierwsza nastąpić ma w styczniu roku 1868. Obecnie zaś, jakkolwiek niemająca żadnego związku z celami tego towarzystwa, godną jest wzmianki dość znaczna wystawa obrazów, urządzona w ratuszu na korzyść „Towarzystwa bratniej pomocy akademików lwowskich“, gdzie obok mistrzów dawnych widzieć można niejeden znakomity utwór najpierwszych naszych artystów krajowych, jako to: Grotkera, Tepy, Loefflera i innych. Z bolem serca jednak przychodzi nam zapisać przy tej sposobności, że jedna z najświetniejszych gwiazd naszego świata artystycznego, pan Artur Grotker, złożony niebezpieczną słabością piersiową na obcej ziemi, może lada chwila zgasnąć z niepowetowaną szkodą dla narodu. Oby łaska opatrzności raczyła uchronić nas jeszcze na długo od tak dotkliwej straty!

Mówiąc o malarstwie nie od rzeczy będzie wspomnąć tu także o połączonej z niem bardzo ściśle i — powiedzielibyśmy — posiłkującej je sztuce nowoczesnej — fotografii. Nikt już nie zaprzeczy dzisiaj, że fotografja pomimo całej mechaniczności swojej procedury, ma słuszne prawo do artyzmu, i że zdobyła sobie już rzeczywiście trwałe stanowisko w dziedzinie sztuki, jako niezmiernie pożyteczny i wierny sprzymierzeniec pędzla i dłuta. Mianowicie w najnowszych czasach zrobiła fotografja nadzwyczajne postępy, a nasze zakłady fotograficzne mogą w tym względzie równać się śmiało z najlepszemi. Przedewszystkiem zaś zasługują na podniesienie tak dla doskonałości swoich wyrobów, jako też dla swoich przedsiębiorstw artystycznych, dwa tutejsze zakłady malarsko-fotograficzne, a mianowicie pp. Józefa Edera i Teodora Szajnoka. Niepotrzebujemy rozpisywać się tu wcale o ich pracach; publiczność nasza tak miejska jak i z prowincji ocenia je sama najlepiej jak najliczniejszym udziałem; ale godzi się podnieść tu ich zasługi położone dla kraju kosztownemi publikacjami artystycznemi. I tak p. Ederowi zawdzięczamy piękne album, obejmujące kilkadziesiąt widoków miasta Lwowa, a nadto urządzenie wystawy stereoskopowej, obejmującej sto kilkadziesiąt widoków z wystawy paryzkiej. Zaś p. Szajnok obdarzył nas już dawniej pięknem i szacownem wydaniem Polonii Grotkera, a obecnie wydaje Album Żółkiewskie, z którego część dochodu przeznaczona jest na restauracyę pomników krajowych, i Trzy kartek z Sybiru, podług rysunków p. Fr. Tepy, na korzyść powracających z Sybiru rodaków. Obie te publikacye ozdobione są nadto winietami okładkowemi utworu i rysunku p. Tepy.

Świat nasz muzykalny ożywił się także w ostatnich czasach, najprzód założeniem nowej szkoły muzyki i spiewu pana Kozłowskiego, a powtóre utworzeniem Towarzystwa przyjaciół spiewu za staraniem kilku miłośników spiewu, którego statuta zostały już przedłożone Namiestnictwu do potwierdzenia.

Na koniec co się tyczy sztuki dramatycznej i naszej sceny narodowej, przyznać potrzeba dyrekcji, że nie szczędzi żadnych starań i kosztów ku odświeżeniu zarówno sił artystycznych jak i reportoarza, a za szczególną zasługę poczytać jej potrzeba rozpisanie konkursu o nagrody za najlepszy utwór dramatyczny, którego termin upłynął właśnie z końcem listopada, a w którym — jak się dowiadujemy — wzięło udział dwadzieścia kilka utworów dramatycznych wszelkiego rodzaju.

Taki jest w krótkości obraz dzisiejszego ruchu umysłowego u nas, którego wszelkie objawy ważniejsze zapisywać będziemy zawsze jak najstaranniej.

Ze świata.

(Święty bez kanonizacji). W Bawarji wydarzył się niedawno wcale komiczny wypadek. Pewien tamtejszy klasztor OO. Franciszkanów, który utrzymuje się jedynie z kwesty i sprzedaży ś. Różańców i medalów, zamówił sobie w jednej z fabryk norymberskich świeży zapas medalów, i otrzymawszy je w swoim czasie poświęcił w najlepszej wierze i sprzedawał. I już rulon był w większej połowie wyczerpany, gdy ciekawość jednego z kupujących, jakiegoto Świętego przedstawia właściwie ten medal, naprowadziła szanownych Ojców na bardzo niemiłe odkrycie. Pokazało się bowiem, że zamiast medalów z wizerunkami Świętych, przysłała im fabryka przez omyłkę rulon medalów zamówionych dla patryotów włoskich z popiersiem Króla włoskiego i napisem włoskim po jednej stronie: „Vittore Emanuele“, a po drugiej „Italia unita.“ I tak zrządził wypadek w istocie zabawny, że Wiktor Emanuel, który właśnie wtedy zostawał pod klątwą kościelną, figurował w mniemaniu pobożnych wieśniaków bawarskich jako Święty, którego sumiaste wąsy najbardziej zadziwiały prostaczków.

(Szczep Kissilbaszów w Kurdystanie.) Górskie okolice Kurdystanu w Małej Azyi nad brzegami Eufratu zamieszkuje szczep wcale nieliczny, ale za to bardzo bitny i ciekawy z powodu szczególnej mieszaniny swoich obrządków religijnych, szczep tak zwanych Kissilbaszów. Sławny badacz okolic nadeufrackich, konzul angielski w Kurdystanie, p. Taylor, podaje o nim następujące szczegóły: Kissilbaszowie są całkiem niezawiśli od Porty, płacą haracz wtedy tylko, jak im się podoba, odmawiają rekruta i słuchają tylko swoich naczelników. Ludność męska wynosi do 200.000 głów i może postawić 25.000 wojowników uzbrojonych w strzelby luntowe. Naczelnicy są bogaci, lud biedny; każdy musi składać agom piątą część swojego żniwa, a oprócz tego masło, owce i daniny pieniężne. Ich religia jest mieszaniną, złożoną z odwiecznego sabeizmu (czci gwiazd), religii chrześcijańskiej i mahometanizmu; ubóstwiają oni słońce, kamienie, drzewa; niektóre obrządki datują się jeszcze od Karniotów i Assasinów z trzeciego wieku podług ery mahometańskiej. Najwyższą istotą ich czci jest Ali, a po nim następuje Jezus, o którym sądzą, że równie jak wszyscy prorocy i mężowie święci od Adama aż do Alego jest wcieleniem bóstwa. Ostatniem wcieleniem był Ali, tego nazywają oni: „Słowem — Niestworzonym — Synem światła — Lwem Boga — Doskonałym — Sprawiedliwym — Prawdziwym.“ Modły swoje odprawiają oni w ciemnych kryjówkach; niekiedy spożywają święcony chleb i wino, podobnie jak chrześcianie. Nie uczą się ani czytać ani pisać, a w rzeczach duchownych podlegają naczelnikom religijnym, zwanym Dejdi i Sejidi, którzy odmawiają w głos modlitwy i śpiewają pieśni na cześć Alego i dwunastu Imanów. Z sąsiadami swymi żyją Kissilbaszowie w ciągłej nieprzyjaźni, a najbardziej nienawidzą Mahometanów, i Taylor sądzi, że w razie wojny Moskwy z Turcyą mógłby ten szczep stać się bardzo niebezpiecznym Porcie.

(Skała koralowa pod Florydą). Niedawnemi czasy przedsiębrano badania naukowe dla docieczenia, ile czasu potrzeba było do utworzenia się tej skały, i rezultat tych badań był następujący: Biorąc na uwagę żyjącą część skały, t. j. tę, w której istnieją jeszcze wszystkie polipy, pracujące nad rozszerzeniem ławy, pokazuje się, że ta część skały równa się dwudziestej części jej szerokości, że głębokość jej wynosi trzysta sążni, i że nakoniec powiększa się ona rocznie o pół cala. Podług tego byłoby potrzeba na jej utworzenie 864 tysięcy lat. Przypuściwszy jednak, że ława ta rozciąga się od przylądka Florydy aż do Tortugi, wypadałoby liczyć jej przynajmniej milion lat wieku. Wszystko to odnosi się jednak tylko do żyjącej czyli zewnętrznej części ławy. Tymczasem przypuszczają uczeni badacze, że ku Alabamie wynosi jej grubość 250, a od strony południowej 800, zatem w przecięciu 900 stóp, i że przeto do jej utworzenia potrzeba było 5,400.000 lat.

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ
Z ROKU 1867.

Struve. Die Zeit 1863 — 1866. (Beitrag zur Weltgesch.) Coburg 1867.
Kraszewski. Pamiętnik anegd. (z czasów Stan. Aug.) Poznań 1867.
Rocznik Towarzystwa literacko-historycznego w Paryżu. Paryż 1867.
Szujski. Kilka prawd z dziejów. Kraków 1867.
Wolski. Nauka gromadzka. Lwów 1867.
Urbański. Niewola babilońska. Lwów 1867. (Poemat do muzyki Guniewicza.
Czajkowski. Anna. (Biblioteka pisarzy pol. Brockhaus.) Lipsk 1867.
Brodziński. Wiesław (übersezt von Schoenke.) Posen 1867.
Przygody X. Marc. Lubomirskiego. Warszawa 1867.
Stebelski. Żywoty św. Eufrozyny i Parascewii, 3 tomy, Lwów 1867. Wydawca J. Igiel.
Mickiewicz Adam. Histoire pop. de Pologne. Paris 1867.
Białoskórski. Przed wyborami. Lwów 1867. Brosz.
Ekielski. Majątek W. księstwa krakowskiego. Kraków 1867.
Projekt założenia instytutu opieki sierót. Lwów 1867.
Schnajder. Pomniki w kość. Ojców Dominikanów. Lwów 1867.
Austrja, monarchia federacyjna. Kraków 1867. Brosz.
Day. The russian government in Poland. London 1867.
Projekt ustawy Towarzystwa lekarzy galicyjskich. Lwów 1867.
Poniński. Memoryał posłom. Lwów 1867. Brosz.
Doręcznik prawny dla urzędów gminnych. Lwów 1867.
Kieres. Co każdy Polak wiedzieć powinien. Kraków 1867. Brosz.
Trzaskowski. Zarys organizacyi szkół niższych. Lwów 1867.
Pragłowski. Zniesienie stopy procentowej. Lwów 1867.
Trepka. Studja ekonomiczne. Warszawa 1867.
Miłkowski. Mąż z rezerwy. Warszawa 1867. Powieść.
Bandriliart. Przewodnik ekonomii politycznej. (Tł. Belejowska.) Warszawa 1867.
Czemeryński. Prawo austryjackie. tom. II. Lwów 1867.
Müller. Świat roślinny 2 tom. Kraków 1867. (Wydawnictwo Trzecieskiego).
About. Zabezpieczenie. Berlin 1867. (Biblioteka Forstera).
Kalicki. O kwestyi ruskiej. Lwów 1867.
Wielogłowski. Żywot Najświętszej Panny. Kraków 1867.
Ségur. O istocie kościoła. Kraków 1867.
Ségur. Uczta święta. Kraków 1867.
Poczet skazańców na Sybir. Kraków 1867.
Odpowiedź na cyrkularz Gorczakowa. Kraków 1867. Brosz.
Rozmowy niedzielne siostry Anny. Kraków 1867. Brosz.
Schoedler. Księga przyrody 2 tomy. Warszawa 1867.
Pamiętniki z XVIII wieku. Poznań 1867.
Chęciński. Rybak z Palermo, opera. Warszawa 1867.
de Noailles. Henri de Valois. 3 Vol. Paris 1867.
Czyrniański. Chemia org. II. Kraków 1867.
Trocki. Entwicklung der Oper in Polen. Leipzig 1867.
Bolesławita. Rachunki. Poznań 1867.
Prawdomir. Finis Moscoviae 1867. (Poezya).
Wodzicki H. Vademecum dla owczarzy. Lwów 1867.
Giller. Opis Zabajkalskiej krainy, 3 tomy. Lipsk 1867. Brockhaus.
Turczyński. Tragedja życia. (Poemat). Lwów 1867.
Rochebrun. Réponse a M. Bismark. Chambery 1867. (Brosz).
Dzieduszycki M. Ojczyzna. Lwów 1867.
Faleński. Treny Jana Kochanowskiego. Warszawa 1867. (C. d. n.)

Wydawca i nakładca: F. H. Richter. Redaktor odpowiedzialny: Fr. Waligórski. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.